



SYRENA

ORZEŁ BIAŁY

ROK XIX
PARYŻ—LONDYN

ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność

NR 33/34 (893/4—590/1)

13-20 SIERPNI 1959

W NUMERZE POWIĘKSZONYM:

Władysław Pobóg-Malinowski
Warszawskie edycje Wańkowicza

Z. Borynicz

W bitwie z Budiennym na przedpolu Lwowa

Wydarzenia i uwagi: Wizyty Moskwa—Waszyngton.

Marya Kasterska: Franciszek Black.

Głosy prasy. — Kronika wojskowa. — Życie kulturalne. — Wiadomości Organizacyjne.

— Przegląd sportowy. — Między plotką i anegdotą. — Dodatek Zarz. Głównego S. P. K. — Odcinek powieści Józefa Łobodowskiego „Droga powrotna”. — Krzyżówka konkursowa.

Mieczysław Lurczyński
Wskazania nieaktualne

Wiesław Wahnout

Pierwszy rzut: Sowiński i Żywnia

Francuzi wobec spotkania Eisenhower—Chruszczow.

Witold Nowosad: Tuluza 15 sierpnia 1940.

Andrzej Dzierżyński
Etruskowie znani i nieznan

E. Hinterhoff

O nawrót do polityki wyzwolenia

POLSKA I ZACHÓD

W POLSCE głośno teraz w prasie światowej. Pisma amerykańskie i krajów europejskich omawiają zagadnienia polskie w związku z zapowiadzianymi spotkaniami Eisenhowera i Chruszczowa i objazdem stolic europejskich przez prezydenta Stanów Zjednoczonych. Przeważa zdanie, że sprawa polska, jak w ogóle sprawa narodów środkowo-europejskich, winna i musi być przedmiotem rozmów między szefami rządów w zbliżającym się okresie intensywnych prac dyplomatycznych.

Pobyt wiceprezydenta Nixona w Warszawie i manifestacyjnie entuzjastyczne przyjęcie go przez ludność stolicy przyczyniły się — rzecz prosta — do postawienia raz jeszcze w chwili bardzo ważnej zagadnienia polskiego przed forum światowym.

Polacy, którym odebrano wolność polityczną i pozbawiono możliwości wyrażania swej woli w drodze wol-

nych wyborów, korzystają z takich wyjątkowych sposobności, jak przyjazd wybitnego gościa z Ameryki, by dać wyraz swym uczuciom i swym nadziejom. Naród polski bowiem wiąże swe nadzieje ze Stanami Zjednoczonymi, ziemią wolności, poszanowania godności ludzkiej i dobrobytu. Przeciwny Polak wie, że o ile z Rosji Sowieckiej oczekiwać może rabunku, nędzy, deportacji, zsyłek i śmierci katyńskiej, o tyle ze Stanów Zjednoczonych spodziewa się przede wszystkim wolności, uwolnienia od niezastużonej biedy materialnej i rozkwitu prawdziwego postępu społecznego.

Ujawnienie tego powszechnego nastroju w ostatnich manifestacjach warszawskich nie powinno być dla nikogo niespodzianką ani zaskoczeniem — przywódcy wolnych Polaków w wolnym świecie z gen. Anderssem na czele niejednokrotnie dawali wyraz tym samym nastrojom, które ujawniły się na ulicach Warszawy. Jest to jeszcze jeden dowód, że kierownictwo emigracji politycznej wyraża ściśle dążenia społeczeństwa w Kraju.

Niemniej, demonstracje warszawskie stworzyły nowy fakt polityczny. Londyński „Sunday Times” wymienił sprawę „uwięzienia” przez Sowietów Europy środkowej, jako jeden z tematów w najbliższych rozmowach „na szczycie”. „Observer” twierdził, że krajom tym nie można odmówić na stałe możliwości wybierania swych rządów. Stawia on jednak ryzykowną tezę, że droga do uzyskania większej swobody przez narody ujarzmione wiedzie przez „odprężenie” międzynarodowe. Ma ono rzekomo skłonić Moskwę do stosowania większego „liberalizmu” w krajach satelickich. Chruszczow deklamuje o konieczności likwidacji „zimnej wojny” i pozostałości po drugiej wojnie światowej. Tę pozostałość widzi on w położeniu „okupowanego” przez Zachód zachodnioberego Berlina.

Z wielkim sceptycyzmem należy odnosić się do tezy, że odprężenie międzynarodowe przyniesie krajom środkowo-europejskim większą swobodę i że Rosja Sowiecka stanie się wówczas bardziej liberalna. Wypadki mogą wziąć obrót wręcz odwrotny. Kreml, zwolniony od nacisku międzynarodowego, z tym większą swobodą może się zabrać do dalszego podporządkowania krajów satelickich sobie i doktrynie komunistycznej.

Co wreszcie oznacza słowo „odprężenie”? Napiecie w stosunkach międzynarodowych wytwarza przecież Rosja Sowiecka i jej plany imperialistyczne. Jeżeli „odprężenie” ma oz-

(Dokończenie na str. 12)

NA ŚWIĘTO ŻOŁNIERZA

Drodzy Koledzy,

Zbliżają się dni pamiętnych rocznic, które są wspomnieniami bohaterskich wysiłków naszego narodu w walce o odzyskanie i utrzymanie niepodległości.

Dzisiaj zwracam się do Was w dniu 15 sierpnia, w dniu Święta Żołnierza ustanowionego w rocznicę zwycięskiej bitwy o Warszawę w 1920 roku. Poprzez pokolenia pamięć tego zwycięstwa będzie zawsze jednym ze źródeł naszej siły moralnej.

Chwilami obecna jest szczególnie trudna a sytuacja międzynarodowa stwarza poważne niebezpieczeństwa. Wolne narody świata postawiły przed sobą wizję pokojowej Rosji Sowieckiej, która jakoby chce zerwać z całą swoją przeszłością. Zamyka się oczy na fakt, że kierownicy imperium bolszewickiego są tymi samymi, którzy osobiście kierowali wyniszczaniem milionów ludzi, posłusznie spełniając najbardziej nieludzkie rozkazy Stalina. Dzisiaj chce się w nich widzieć dobrodusznym i pokojowo nastrojonym partnerów dla przyszłych umów międzynarodowych.

Tak wygląda sytuacja na powierzchni, ale groźna rzeczywistość kryje się za tą upiękkszöną zasłoną.

Kraj nasz jest wciąż we władaniu obcej przemocy. Jednym z symboli tego jest fakt, że dotychczas nie wolno święcić w Polsce rocznicy bitwy warszawskiej 1920 r. Rocznicę ta mówi wyraźnie, a cały bieg naszej historii to potwierdza, że nie ma tak ciężkiej sytuacji, w której by nie zwyciężył Duch Narodu, dążącego niezłomnie do wolności. Wiara tę i dzisiaj każdy Polak nosi w swym sercu i czeka z utęsknieniem na chwilę, kiedy Polska odzyska niepodległość.

GEN. W. ANDERS

PIECZĘCIE ŻYCIA I TRUDU ŻOŁNIERZA

Zamiast artykułu drukujemy poniżej obszernie wyjątki z kazania ks. J. Warszawskiego, wygłoszonego na cmentarzu wojennym Monte Cassino w 15 rocznicę bitwy. Jest ono poświęcone pamięci wszystkich poległych żołnierzy polskich i mówi o wartości ich ofiary w oczach Boga.

Rocznicę każda jest jak otwieranie pieczęci. Czas nawaństwa mogiły pyłem zapomnienia. Życie zawsze jest silniejsze niż najsilniejsza śmierć. Jego nieublagany pochód naprzód, jego tok i tłok dokonujących się dziejów, kładą się rodzajem wielkiej pieczęci na największej nawet hekatombie śmierci.

Rocznicę wszystkie są jakby zrywaniem zastygającej, miejscami już ztwardziałej skorupy nawierzchni tej pieczęci. Są zagładaniem za zalegającą jej tanię prawdę. Tak właśnie zamierzamy uczynić dzisiaj. Kartę naszych dziejów ojczyźnych, opieczętowaną monogramem i znakiem „Monte Cassino” — chcemy rozchylić aż do właściwego dna — i począć czytać jako naukę na dzień dzisiejszy.

„A gdy otworzył pieczęć piątą ujrzałem pod ołtarzem duchy zabitych dla słowa Bożego i dla świadectwa, które wydały” (z „Księgi Objawień” R. VI. w. 9).

Piętnaście lat mija od chwili, kiedy tu — w zakręgu ścielącej się u naszych stóp kotliny — polegli bracia nasi, polegli duchy tych, których pamięć uwiecznił ołtarz, przy którym zanosimy modły za ich spokój. Ktokolwiek ma otwarte oko ducha — ono oko drugie, które nie jest wspólne zwierzętom na równi z nami — ten widzi opodal tego ołtarza — tak jak mówi Pismo święte „duchy zabitych dla słowa Bożego i dla świadectwa, które wydały”. Podobnie jak wyobrażano sobie podczas obrzędów „Dziadów”, owego obrzędu pogańsko-chrześcijańskiego, iż na znak dany przez guślarza poczęły gromadzić się i stawać obecne duchy umarłych, tak i tu — na odgłos zanoszonych przed Boga tron dokonywa się owa chrześcijańska *communio sanctorum*, owo „świętych obcowanie”, które łączy w sposób niewidzialny i nadprzyrodzony ofiarującego modlitwę i biorącego jej skuteczną.

Dzień 18 maja. Rok 1944. Rok powstania warszawskiego. Rok Monte Cassina!

A dzisiaj? Jak przedstawia się rzeczywistość chwili bieżącej? Jaki bilans owego roku sławy i zwycięstwa dla nas pozostałych? Jaki obrót wzięły triumf i entuzjazm w historycznej perspektywie?

A gdyby tak móc zakrzyknąć i zawezwać wszystkich poległych na wielki ojczysty plebiscyt? Gdyby tak móc zawołać: Wstańcie, duchy umarłe! — wy, których już nie wikła żadna poli-



ZWYCIĘSTWO POD WARSZAWĄ W 1920 ROKU

Fresk wykonany przez prof. Artura Gattiego w Kaplicy Polskiej w Bazylice w Loreto

tyczna gra ani intryga, — i powiedzcie nam prawdę o sobie i o boju waszym. Wstańcie, szczątki śmiertelne! — jak w widzeniu Ezechielowym, — roztrąćcie truchła waszych mogił, i głosem nie uleklým zza światów oznajmijcie nam nabrzmiałą w naszych piersiach przez te piętnaście lat treść — jakąż byśmy otrzymali odpowiedź? Czym by się różniła od tych słów Pisma św., które św. Jan kładzie w usta zabitych i zamordowanych:

„A gdy otworzył (Baranek Apokaliptyczny) pieczęć piątą ujrzałem pod ołtarzem duchy zabitych dla słowa Bożego i dla świadectwa, które wydały. I wołały głosem donośnym mówiąc: Dokądże, Panie — Święty i Prawdziwy — nie sądzisz i nie wydajesz wyroku za krew naszą, za tych, którzy zamieszkują ziemię?”

Słowa Pisma św. są jak miecz. Rozcinają na dwoje.

Druga wojna światowa zaczęła się zbrodnią i — zakończyła zbrodnią.

Ci, którzy dają świadectwo tej prawdzie leżą tu, u podnóża ołtarza,

nad którym się unosi Duch Wiekuistej Prawdy.

Słowa Pisma św. są jak miecz. W ich oślepiającym błysku widać, że rozstrzygającym czynnikiem na arenie dziejowej jest nie tylko świat — ale i zaświat.

(Dokończenie na str. 12)

Następny numer
ORLA BIAŁEGO/SYRENY
ukaze się po tygodniowej
przerwie z datą dnia
27 SIERPNI 1959

Święto Żołnierza w Paryżu

Federacja Polskich Obrońców Ojczyzny, tradycyjnym zwyczajem organizuje w Paryżu z okazji Święta Żołnierza, w sobotę dn. 15 sierpnia 1959 uroczysty obchód, na który uprzejmie zaprasza polskie organizacje niepodległościowe ze sztabami, Rodaków z Paryża i okolicy.

Program Obchodu:

Godz. 11.00 — Msza Św. w Kościele Polskim w Paryżu.

Godz. 18.00 — Zbiórka delegacji u zbiegu Avenue des Champs-Elysées i Avenue Marceau na Place de l'Etoile.

Godz. 18.30 — Złożenie wieńca i wzniesienie na Grobie Nieznanego Żołnierza pod Łukiem Triumfalnym.

Godz. 19.00 — 22.00 — Zabawa Żołnierska w Domu Kombatanta.

Federacja Polskich Obrońców Ojczyzny
we Francji

Na tę samą uroczystość specjalnie zaprasza Polonię Paryską Zarząd Związku Rez. i b. Wojsk. Koło Paryż, które w tym roku ma sobie powierzone zapalenie znicza w dniu 15 sierpnia.

FOP 2150

GŁOSY PRASY

O POBYCIE NIXONA
W WARSZAWIE

„Le Monde“, 6. 8. 59.

... Trzech prałatów doręczyło Nixonowi osobisty list kardynała Wyszyńskiego, który uznał za wskazane udać się „na wakacje“ w czasie pobytu wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych w Warszawie, aby nie zaostrzyć i tak już bardzo napiętych stosunków między Kościołem i państwem...“

(W czasie pobytu Nixona na obszarze uniwersytetu warszawskiego): „...wśród okrzyków „Niech żyje Nixon! Niech żyje Ameryka!“, odezwały się wołania „Odra i Nysa!“, które przypominały o podstawowym żądaniu Polaków, którym jest ostateczne uznanie obecnej granicy z Niemcami“.

„Corriere d'Informazione“, 4. 8. 59.

„Rzucała się w oczy różnica między przyjęciem jakie doznał Nixon... i przyjęciem zgotowanym Chruszczowowi 14 lipca... Nixon był początkowo zdumiony gorącym przyjęciem przez ludność... zdumienie to przerodziło się wnet w radość. Tlum uczynił wszystko, by dać wyraz swym uczuciom w stosunku do Zachodu“.

„Daily Telegraph“, 6. 8. 59.

... Spontaniczne przyjęcie przez tłumy Polaków Nixona w Warszawie jest być może najbardziej przekonującym dowodem — od czasu powstania w Poznaniu i w Budapeszcie w r. 1956 — właściwych uczuć narodów ujarzmionych...“

I dalej, w związku z równoczesnym zaproszeniem Chruszczowa do Waszyngtonu, które w prasie światowej przyćmiło sensację warszawską: „... Z jednej strony Polacy pokazują światu wodownie ciągłą słabość sowieckiego imperium na zachód od ich granic — z drugiej strony widzimy gotowość symbolicznego uściśnięcia ręki oprawcy (krajów ujarzmionych)...“

„Time“, 10. 8. 59.

Opisawszy starania władz komunistycznych, by nie dopuścić do manifestacji na cześć Nixona „Time“ pisze: „Czy ten starannie obmyślany plan nie odniósł żadnego skutku wobec ludności, której myśl zwraca się tylko ku wolności...“ „W tłumie ustawionym miejscami w dziedziście szeregów widać było setki żołnierzy w mundurach, którzy, rzecz nie do pomyślenia w jakimkolwiek innym kraju, rządzone przez komunistów, wiwatowali nie gorzej niż cywile“...“

I wreszcie: „Mieszkańcy Polski rządzonej przez komunistów wzięli udział w swoich wyborach, w których wykazali na kogo i na co głosują. Jeśli kto, to właśnie oni pokazali, że można głosować przy pomocy gardła, uśmiechów na twarzy i błysków w oczach“.

„Süddeutsche Zeitung“, Monachium, z dn. 4. 8. 59.

W artykule p. t.: „Amerykanin w Warszawie“ czytamy m. in.:

... Ludność Warszawy jest na tyle wyszkolona, że umie (zawczasu) dowiedzieć się o tym, co władze usiłują przed nią ukryć. W przeddzień wielkich powstań w swej historii zawsze wiedziała z góry, kiedy mogą paść pierwsze strzały. Gdy przed 3 lata wracał z wygnania najwyższy pasterz Polski, kardynał Wyszyński, cała stolica była na nogach, jakkolwiek przedtem nie o tym nie pisano w prasie. Jeśli natomiast taki gość honorowy jak Chruszczow witany był przez wielkie masy, to jest to raczej zasługa organizacji komunistycznej, mimo iż obecny władca Kremla mógł być dla Polaków sympatyczniejszy aniżeli jego poprzednik. Gdy Richard Nixon przybył w niedzielę samolotem odrzutowym do Warszawy, prasa nie podała żadnej wzmianki ani o miejscu przybycia ani

godziny, a mimo to setki tysięcy osób wiwatowały na cześć amerykańskiego gościa. „Ameryka nas nie zapomniała, Ameryka nas nie opuściła“ — można było odczytać z ich twarzy“.

... Zupełnie słusznie warszawiacy wyczuli, że wizyta amerykańskiego wiceprezydenta w ich stolicy oznacza coś więcej, niż taktyczne pociągnięcie szachowe w przygotowaniu kampanii wyborczej o następstwo po prezydencie Eisenhowerze... Ten drugi mąż amerykańskiej polityki dokonał demonstracji w polityce zagranicznej, dając do zrozumienia, że dla niego Moskwa nie jest wyłącznym reprezentantem (interesów) całego bloku wschodniego...“

Francuzi wobec spotkania Eisenhower—Chruszczow

FRANCUSKA opinia publiczna przyjęła wiadomość o wymianie wizyt między prez. Eisenhowerem i Chruszczowem z uczuciami mieszanymi. O ile wszyscy są zadowoleni, że w ten sposób została zażegnana groźba wybuchu wojny światowej o Berlin zachodni, bo wybuch tego rodzaju konfliktu byłby we Francji ogromnie niepopularny — to z drugiej strony większość Francuzów zawsze obawiała się dialogu rosyjsko-amerykańskiego, sam na sam, ponieważ uważała, że dwa główne mocarstwa światowe mogą się porozumieć kosztem Europy.

Obecnie, wobec zbliżającej się już wizyty Chruszczowa w Stanach, podróże Eisenhowera do Paryża, z Londynu i Bonn oraz prawdopodobnej już konferencji na szczycie — prasa francuska rozważa wiele możliwości.

Najbardziej charakterystyczny może być artykuł głównego dzisiaj znawcy stosunków międzynarodowych w Paryżu od czasu śmierci André Siegfrieda — Raymond Aron. Napisał on w „Figarze“ znamieny artykuł pt.: „Nie będzie nowej Jatty“.

Aron wysuwa tezę, że Stany Zjednoczone i Sowiety nie mogą w roku 1959 podzielić między siebie wpływów na świecie tak, jak to usiłowały zrobić w latach 1943-45 na konferencjach w Teheranie i Jaltie, ponieważ nie jest to możliwe. W Europie linia podziału przebiega przez Berlin i Niemcy. Na Bliskim Wschodzie, w Azji i w Ameryce takiej linii podziału w ogóle nie ma, a rywalizacja amerykańsko-sowiecka rozgrywa się wewnątrz danych państw i przy pomocy walki stronnictw w tych państwach. Amerykanie po doświadczeniach okresu zimnej wojny, wojny koreańskiej i sprawy Berlina zachodniego nie są tak naiwni, aby ryzykować rozkład sojuszu atlantyckiego za złudzenia kompromisu i ugody z Rosją. Jedyną sprawą — zdaniem Arona — jaka łączy oba główne mocarstwa światowe — jest świadomość, że wojna — jakkolwiek możliwa, jest dzisiaj faktem absurdalnym i potwornym. Dwa państwa, z których każde posiada zapas bomb atomowych i wodorowych, nie mogą złamać jedno drugiego. Równowaga płynąca z terroru wzajemnego, jest równocześnie równowagą niemożliwą. Oba ołbrzymie mają wspólny interes w uniknięciu wojny, która byłaby dla obu katastrofą i stąd skazane są na pewien stopień współistnienia, ale to współistnienie nie oznacza podziału świata.

Inne pisma zajmują się raczej kwestią stosunków wzajemnych amerykańsko-francuskich, które w nowej koniunkturze światowej przybierają nieco inny wygląd. Zbliża się już na terenie ogólnego Zgromadzenia ONZ

EUGENIUSZ HINTERHOFF

Apel o nawrót do polityki wyzwolenia

ENTUZJASTYCZNE przyjęcie zgotowane dla wiceprezydenta Nixona przez tłumy publiczności w Warszawie, które zaskoczyły najbardziej optymistyczne przewidywania dyplomatów amerykańskich, dało mu niewątpliwie poczucie o prawdziwych nastrojach Polaków, o którym nie omieszka on zdać sprawozdanie w Stanach Zjednoczonych.

Zarazem tydzień modłów w kościołach amerykańskich za narody ujarzmione, w

których wziął udział sam Prezydent Eisenhower, a które odbyły się prawie równocześnie z wizytą Nixona w Moskwie, są jeszcze jednym dowodem, że Stany Zjednoczone nie zapomniały o krajach Europy Wschodniej, do oddania których w niewolę sowiecką przyczyniła się w dużym stopniu nierozważna polityka Prezydenta Roosevelta.

Wizyta wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych w Warszawie, w dodatku cieszącego się opinią nieprzejednanego wroga komunizmu, być może przypominała Polakom w Kraju tak piękny, a tak złudny, niestety, miraż „polityki wyzwolenia“.

Nie była ona nigdy oficjalną polityką Stanów Zjednoczonych. Polityką oficjalną, sformułowaną w r. 1947/48 przez G. Kennana, pierwszego dyrektora stworzonego w Departamencie Stany „Sztabu planowania polityki“ była polityka „hamowania“ Rosji, która w języku angielskim uzyskała nazwę „containment“.

Jej zasady, sformułowane w 7 punktach G. Kennana w słynnym artykule „Źródła postawy sowieckiej“, ogłoszonym w lipcu 1947 w kwartalniku amerykańskim „Foreign Affairs“, sprowadzić można do tezy: „... naczelną zasadą wszelkiej polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych musi być długoterminowa polityka cierpliwego lecz stanowczego i czujnego hamowania rosyjskich skłonności do ekspansji“.

Skutki czysto defensywnej polityki „hamowania“ są zbyt dobrze znane, by warto było nad nimi się rozwódzić: niewątpliwie, polityka ta wywarła wpływ na postawę Ameryki podczas powstania na Węgrzech, kiedy zarówno Prezydent Eisenhower, jak i F. Dulles oświadczyli publicznie, że „Stany Zjednoczone nie poszukują sprzymierzeńców poza Żelazną Kurtyną...“.

Był wszakże okres, kiedy hasło wyzwolenia nie schodziło z ust polityków amerykańskich: był to okres kampanii wyborczej na stanowisko Prezydenta w roku 1952. Był to zarazem okres największych dotacji na cele Radia Wolnej Euro-

py i Głosu Ameryki, oraz snucia ambitnych planów stworzenia organizacji dla wojny psychologicznej.

Niestety, wkrótce po wyborach hasło wyzwolenia ucichło i polityka amerykańska powróciła do zasad sformułowanych przez Kennana w r. 1947/48. Zwolna jej zasady musiały się siłą rzeczy wyrazić w popieraniu potencjału politycznego, gospodarczego i wojskowego Niemiec Zachodnich, które zaczęły odgrywać coraz donioślejszą rolę w systemie obronnym Europy Zachodniej. Ujarmienie zaś Europy Wschodniej zaczęło stawać się powoli pewnym rodzajem „faktem dokonanym“: wprawdzie przykrym, który należało przy każdej odpowiedniej okazji potępić, ale z którym należało ostatecznie jakoś się pogodzić, starając się tylko, o ile można, o okazanie pomocy gospodarczej niektórym krajom, jak np. Polsce.

A jednak, zdaje się, że mimo wszystko wielu Amerykanów, i to dość wybitnych, nie może się pogodzić z obecną sytuacją w Europie Wschodniej; wyrazem tego rodzaju stanowiska były debaty w Kongresie i Senacie w sprawie pomocy gospodarczej dla Polski. Możliwe, że wizyta Nixona w Polsce była w pewnym stopniu skutkiem tych nastrojów.

Na tle tych rozważań zasługuje na szczególną uwagę artykuł senatora Th. J. Dodd, p. t. „Our captive allies“, który ukazał się w specjalnym dodatku do tygodnika „The New Leader“ w Nowym Jorku w lipcu r. b.

W artykule tym, w którym nawołuje on do bardziej stanowczej postawy w stosunku do Rosji, zwłaszcza wobec wojennych wystąpień Chruszczowa, znajdujemy stwierdzenie, że Stany Zjednoczone nie mogą polegać jedynie na „odstraszaku“ atomowym. Zdaniem Dodd, Ameryka może mieć do swojej dyspozycji „deterrent“ o wiele potężniejszy aniżeli cały arsenał bomb atomowych i wodorowych, a „z istnienia którego, niestety, w ogóle nie zdajemy sobie sprawy...“ i „który dotychczas nigdy nie był użyty jako narzędzie dyplomacji“. Otóż narzędziem tym, z czego sobie doskonale zdają sprawę przywódcy sowieccy, jak twierdzi senator Dodd, jest „nienawiść, jaką narody poza Żelazną Kurtyną odczuwają w stosunku do swoich reżimów“.

Z nastrojów tych senator Dodd wyciąga słuszny wniosek, że w razie wojny, dywizje sowieckie w Europie nie będą mogły liczyć na współdziałanie sił zbrojnych „satelitów“. Przeciwnie, będą musiały przeznaczyć część swojego wysiłku na strzeżenie linii komunikacyjnych przez kraje Europy Wschodniej i wszelkiego rodzaju środki zapobiegawcze przeciwko ruchom zbrojnym.

Senator Dodd twierdzi, że Zachód w ogóle nie docenia nasilenia nienawiści, jaką odczuwają zarówno narody Europy Wschodniej jak i miliony Rosjan w stosunku do swoich rządów: dodaje on, że od czasów procesu norymberskiego, w którym brał udział jako pomocnik głównego oskarżyciela, sędziego R. Jacksona, nie może on zapomnieć wstrząsających relacji o masowych samobójstwach tysięcy Rosjan, b. jeńców wojennych podobnie jak „dipisów“ wydanych przez Amerykanów władzom sowieckim. Przypomina on, że podczas ofensywy niemieckiej w Rosji w r. 1941, setki tysięcy żołnierzy sowieckich poddawano się w niewolę, a miliony chłopów, zwłaszcza na Ukrainie, witało żołnierzy niemieckich jako wybawicieli od zniechęconego reżimu sowieckiego.

Wnioski swoje, że Naczelne Dowództwo Sowieckie nie będzie mogło polegać na swoich oddziałach w razie wojny, popiera Dodd faktami przechodzenia żołnierzy rosyjskich na stronę powstańców węgierskich.

W świetle tych wszystkich faktów nawołuje on do powrotu do „polityki wyzwolenia“, gdyż celem naczelnym dyplomacji amerykańskiej powinno być wyzwolenie narodów ujarzmionych.

Dla zrealizowania polityki wyzwolenia doradza on, by przy każdej okazji konferencji dyplomatycznej lub na terenie ONZ sprawa wyzwolenia podnoszona była przez dyplomację amerykańską.

Wreszcie, proponuje on, by w zamian za wycofanie się wojsk sowieckich z krajów Europy Wschodniej, zaproponować im cały szereg ustępstw, jak częściowe rozbrojenie, pakt bezpieczeństwa oraz zwiększenie obrotów handlowych.

Nad głosem senatora Dodd nie można przejść do porządku, zwłaszcza w okresie ożywionych „podróż“ i spotkań „szczytowych“.

Kage.

KRONIKA WOJSKOWA

NIEMCY ZACHODNIE. W pobliżu Wilhelmshaven odbyły się pierwsze kombinowane ćwiczenia desantowe, poprzedzone silnym bombardowaniem zajmowanych wysep przez lotnictwo oraz rakietową artylerię okrętową. Przejęte od „Royal Navy“ fregaty, mające po 1.470 ton wyporności, otrzymały jako nazwy przezwane nazwiska admirałów cesarskich, jak Graf Spee, Schaefer i Hipper, lub reorganizatorów wojska pruskiego, gen. Gneisenau i Scharnhorst.

Z okazji piętnastolecia zamachu na Hitlera generalny inspektor sił zbrojnych, gen. Heusinger, wydał proklamację do sił zbrojnych, w której stanął w obronie honoru ówczesnych zamachowców, ale równocześnie próbował znaczenie zamachu wyolbrzymić, nazywając konspiratorów „najlepszymi świadkami przeciw kolektywnej odpowiedzialności narodu niemieckiego za hitlerowskie zbrodnie“.

Syn osławionego Hessa, b. zastępcy Hitlera, odmówił poddania się obowiązku pełnienia służby wojskowej, motywując to tym, że nie może podlegać władzom paktu atlantyckiego, będącym nowym wcieleniem władz, które skazały jego ojca na dożywotnie więzienie. Niemiecka ustawa poborowa w zasadzie pozwala na tego rodzaju odmowy, oparte na motywach światopoglądowych lub rodzinnych. Niemniej wyrok w tej sprawie oczekiwany jest z dużym zaciekawieniem. Na marginesie warto dodać, że stary Hess przeżywa jeszcze w więzieniu w Szpandawie.

Po przeszło trzyletnich pertraktacjach weszły w życie umowy zmieniające pozycję sił sojuszniczych, stacjonowanych w

Niemczech Zachodnich. Umowy te usunęły ostatnie pozory okupacji, pozostawiając jednak oddziałom sojuszniczym różne przywileje. Władze brytyjskie obawiają się jednak, że wejście w życie tych umów do reszty utrudni szkolenie zwłaszcza oddziałów pancernych, skrepowane tak czy inaczej brakiem dużych poligonów i rosnącymi potrzebami „Bundeswehr“.

Ludność NRF, razem z Berlinem zachodnim, przekroczyła w kwietniu — 54.854.000 osób. Nie licząc Berlina, było 52.500.000, w tym 24.700.000 płci męskiej.

Choć NRF odziedziczyła po Hitlerze najdłuższą w Europie sieć autostrad, mianowicie 2.100 km, ministerstwo komunikacji zamierza rozbudować tę sieć w ciągu 12 lat do 4.600 km. Według oświadczenia ministra komunikacji Seebom, ma powstać do 1961 roku 835 km nowych autostrad.

Niektóre pisma niemieckie, hołdujące najwidoczniej nadal starej zasadzie niemieckiej „Viel Feind, viel Ehre“ (dużo nieprzyjaciół, dużo honoru), przypomniły ostatnio, że Niemcy prowadzili wojnę z kilkudziesięcioma państwami.

— w 1939 znalazły się w stanie wojny z Niemcami: Polska, W. Brytania, Francja, Australia, Nowa Zelandia, Jordania, Kambodża, Laos, Vietnam, Południowa Afryka i Kanada.

— w 1940 roku: Norwegia, Dania (faktycznie), Belgia, Holandia i Luksemburg,

— w 1941 roku: Jugosławia, Grecja, Sowiety, Chiny, Stany Zjednoczone, Filipiny, Costa Rica, Rep. Dominikańska, Guatemala, Haiti, Honduras, Kuba, San Salvador, Nicaragua i Panama,

— w 1942 roku: Meksyk, Brazylia i Abisynia,

— w 1943 roku: Irak, Iran, Włochy, Kolumbia i Boliwia,

— w 1944 roku: Liberia, Rumunia, Bułgaria, Finlandia i Węgry,

— w 1945 roku: Paragwaj, Peru, Wenezuela, Urugwaj, Egipt, Liban, Saudi Arabia, Turcja i Argentyna. Andorra jeszcze od 1918 była w stanie wojny z Niemcami, bo zapomniano o niej w Wersalu.

Uderzając na Polskę, Hitler na pewno nie marzył o „zaszczyt“ posiadania aż tylu nieprzyjaciół...“

BIURO PRAWNIKA w PARYŻU
Abs. Prawa
Uniw. Paryskiego,
doświadczon. emigr. od 1924 we Francji

MARIAN JAROSZYK
Expert-Traducteur-Jure
34, RUE DE MAUBEUGE, 34,
PARIS 9-e.
Telefon: TRU 68-88; metro: Cadet

TLUMACZENIA URZĘDOWE
ważne w całej Francji

SPRAWY: Metryki, ślubów, naturalizacji, pełnomocnictw na kraj, procesów sądowych, rent, wypadków, Dipisów, paszportów, certificate de coutume, podań do Ministerstw, Prefektur, Konsulatów amerykańskich i innych. Piszcze z zaufaniem. Natychmiastowe załatwienie w Paryżu bez potrzeby przyjazdu.

S. † P.
Z NAŁĘCZ-GORSKICH
ANNA NAŁĘCZ-GORSKA
ur. 20. V. 1878 w Birżynianach na Żmudzi, zmarła 4. VII. 1959 r. w Grenoble na obczyźnie. O czym zawiadania w głębokim smutku pogrążona
Rodzina w Kraju i we Francji

WIESŁAW WOHNOUT

PIERWSZY RZUT: SOWIŃSKI I ŻYWINA

RECENZJA

NIE MIAL jednocześnie ukazały się w Londynie książki dwóch poetów: „Dzień Dominika“ Kazimierza Sowińskiego i „Wilcze zioła“ Józefa Żywiny — obie zostały wydane przez Świderskiego. Gdy dodamy do tego parafuntowy tom „Wierszy zebrańnych“ Kazimierza Wierzyńskiego (wydany przez Grydzewskiego), to można by ulec złudzeniu, że czytanie poezji stało się ostatnio ulubionym zajęciem emigracji. Oczywiście tak nie jest. Że poeci emigracyjni mogą urzecz swoje utwory w druku, to jest w pierwszym rzędzie zasługą ich szalonych wydawców — i to powinno być tutaj na wstępie powiedziane. Od lat obserwuję emigracyjny rynek wydawniczy — nie tylko polski. Jest wśród nas powszechnym obyczajem stosowanie bardzo surowych ocen w stosunku do osiągnięć własnych, przy jednoczesnej nadmiernej skłonności do zachwytu wszystkim, co zostało dokonane przez innych. Do codziennego repertuaru emigracyjnych utyskiwań należy na przykład przeciwstawianie rzekomego naszego marazmu, jakiejś urojonej „aktywności“ innych grup emigrantów, dzielących nasz los od roku 1945 — Czechów, Litwinów, Ukraińców. Nie chcę na tym miejscu dotykać delikatnych zagadnień naszego wewnętrzno-emigracyjnego życia politycznego (w którym sam przez lata brałem przecież udział), wydaje mi się jednak, że i w tej dziedzinie porównanie z sytuacją wśród innych emigracji, nie wypadło by na naszą niekorzyść. Natomiast jestem pewny, że nasza *prężność kulturalna* jest większa, niż innych środowisk emigracyjnych. Dowod? Pierwszy z brzegu: *nasza produkcja wydawnicza*. Któraż grupa emigracyjna może się wylegitymować miesięcznikiem o objętości i poziomie „Kultury“ — oraz kilkoma w samym Londynie tygodnikami o typie „Wiadomości“ czy „Orla Białego“? A gdzie szukać odpowiednika dla „Biblioteki Polskiej“ wydawanej od lat przez londyński „Veritas“, której ostatnią nowość — książkę Goetla pt. „Nie warto być małym“ — omawiałem na tym miejscu przed tygodniem? A wreszcie — z czym porównać nową inicjatywę Świderskiego, „Londyńską Bibliotekę Literacką“, której dwa pierwsze tomy stały się właśnie punktem wyjścia niniejszych refleksji? Nie ma odpowiedników! To są nasze, własne, *chlubne* specjalności. I to także powinno być tutaj wyraźnie powiedziane.

Na pierwszy ogień posłał Świderski dwie książki napisane przez poetów. Szuszenie. Obaj byli żołnierzami, goździ się, że poszli w pierwszym rzucie. Dramat Sowińskiego związany jest zresztą z wojną. Nie jest to wszakże ani patriotyczna sztuka z tezą, ani dramatyczny faktomontaż, którego napięcie zależy zazwyczaj od ilości trupów zacięlających scenę w ostatnim akcie. Sowiński postawił sobie zadanie bardziej ambitne. W sztuce nie ma brutalnych efektów — istotny dramat nie rozgrywa się w świetle reflektorów przed oczami widzów, ale w głębi serc — i sumień. Sądzę, że właśnie tak należało się tutaj wyrazić: serce nie zawsze bowiem bywa w zgodzie z sumieniem... (Można by uczynić w tym miejscu uczoną uwagę o zawilch sprawach tzw. *etyki kulturalnej*. Ale, nie trzeba. Lepiej niż filozofowie znają te sprawy artyści. Sowiński wydaje mi się jednym z nich. I to sprawia, że jego dramat zaliczam do najwybitniejszych pozycji bibliograficznych ostatnich lat).

Dwie są główne postacie sztuki Sowińskiego: Agnieszka — młoda kobieta, i Joachim — starzejący się książdz: właśnie *serce* i *sumienie*. Po dziwiam delikatny rysunek tych po-

staci i ich pastelowy dialog. Należało by książkę Sowińskiego postać Hłase. Niech by zobaczył, jakie piekło uczuć można wyrazić szeptem. Jak już powiedziałem, „Dzień Dominika“ jest sztuką „wojenną“. Rzecz rozgrywa się w Polsce, na wsi, w latach okupacji. Ale tylko poboczne postacie wnoszą z sobą czasami powiew grozy przeżywanego czasu. Na scenie widzimy wnętrze zacisznej plebanii i cichy dzień powszedni. Ta dyskrecja w traktowaniu zewnętrznych realiów wzmacnia jeszcze, prawem kontrastu, dramatyczność sztuki i świadczy oczywiście o kulturze pisarskiej autora. Tylko nieliczni pisarze umieją nakładać sobie taki tłumik — większość woli krzyczeć.

Należy chyba jeszcze powiedzieć kilka słów o samym Sowińskim. Urodzony w Łodzi (w roku 1907) debiutował w roku 1930 tomem wierszy pt. „Gwiazdy na strychu“. Jak sam to określa, był później „raczej organizatorem cudzych poczynań, niż pisarzem w ścisłym tego słowa znaczeniu“, gdyż zajmował się pracą redakcyjną, kolejno w kilku literackich wydawnictwach. (Przed wojną w czasopiśmie „Pion“ i „Droga“, w czasie konspiracji redagował podziemne czasopismo „Młodzież walcząca“, następnie, już po zakończeniu działań wojennych, był redaktorem magazynu literackiego „Kronika“ w Rzymie i współpracownikiem „Orla Białego“). „Dzień Dominika“ jest debiutem scenicznym Sowińskiego. Debiut ten wypadł bardzo dobrze, to też pragnę tutaj wyrazić życzenie, by na następną książkę Sowiński nie kazał nam tak długo czekać... *Medice cura te ipsum — lekarzu, ulecz sam siebie* — może mi odpowiedzieć Sowiński — więc uprzedzam cios: w Łodzińskiej Bibliotece Literackiej wydajcie niebawem także moja książka. Szlachetne szaleństwo Świderskiego jest bowiem generalne — i długofalowe...

Drugim tego dowodem jest ślicznie wydany tomik Żywiny. Na 51 stronach pomieścił Żywina dwadzieścia sześć wierszy, z których tytułowy tak się zaczyna:

*Nikt na nas nie czeka
nikt nas nie wola
rośniemy na brzegach skalistych
wilcze zioła...*

Zdarzyło się, że ofiarowałem tomik Żywiny komuś z przyjezdnych z Kraju. Po paru dniach obdarowany zatelefonował do mnie:

— Muszę się z panem zobaczyć.
— O.K., kiedy?
Odpowiedź zdziwiła mnie:
— Zaraz!

Zdziwienie moje zamieniło się w zdumienie, gdy dowiedziałem się, że tematem rozmowy mają być wiersze Żywiny, ściślej — ten właśnie tytułowy wiersz o wilczych ziołach...

Mój rozmówca — jak to jest w zwyczaju rodaków przyjeżdżających z Kraju i nie nawykłych do naszej wyspiarskiej powściągliwości — przypuścił do mnie od razu ostry atak:
— Teraz wiem! To poeci rządzą na emigracji! To oni was urzekają... Angielską manierą uśmiechnąłem się i udałem, że nic nie rozumiem:
— Że co? Że, niby, jak? Że poeci nami rządzą? Co chce pan przez to powiedzieć?

I teraz zaczął się hymn na cześć poetyckiego słowa. Gość z Kraju nauczył się widocznie wiersza Żywiny na pamięć, bo recytował z leżką sentymentalną w głosie: — „Nikt na nas nie czeka — nikt nas nie wola — rośniemy na brzegach skalistych“... Urwał recytację i tonem rzeczowym dodał: — To istna magia, te wasze emigracyjne wilcze zioła...

Tak zaczęła się nasza rozmowa o poezji. Bo, rzeczywiście — w czym leży urok chociażby tego wiersza?

*Oswiali chodzimy po górach
pieśniarze i gitarzyści
obrastając szumem i smutkiem
i wędzącymi liśćmi.*

* * *

*O, słowa bólące — do śpiewu
o, wszystkie zielone drzewa
kto dziś umarłym śpiewa
gdy tną nas chłody jesienne?*

* * *

*Zapadamy się w zamyśleniu
pogrążamy się w ciemnej zadumie.*

Nie będę powtarzał tutaj całego wywodu mojego przygodnego znajomego z Kraju na temat tomiku wierszy, które mu podarowałem, ani też mojej na przedce skłębionej opinii o społecznej funkcji poezji. To jedno wszakże powiedzieć należy: *obaj umieściliśmy zgodnie polskie słowo drukowane na pierwszym miejscu hierarchii ważnych spraw emigracyjnych*. Nadejście jeszcze pora, gdy wszyscy zrozumiemy oczywistą bezsporność tej prawdy. Także Kraj, który feraz czasem nie docenia naszych wysiłków w tej dziedzinie, a niekiedy jak gdyby nawet je lekceważył — uzna wtedy, że garść pisarzy, którzy pozostali na obczyźnie, stara się jednak mimo najtrudniejszych warunków służyć uczciwie językowi polskiemu i narodowej literaturze. Najlepszym dowodem tego są właśnie, jak sądzę, *tomiki emigracyjnych wierszy* — skoro urzekają także rodaków przybywających z Kraju... Bo my, może istotnie jesteśmy zatruci nostalgią — ale oni kąpią się przecież na codzień w jędrnej polszczyźnie — à la Hłasko... Już pisząc o Sowińskim zwróciłem uwagę na jego *świadomą dążność do unikania brutalnych efektów, na delikatność rysunku postaci w „Dniu Dominika“ i pastelowość ich dialogu*. Teraz odnoszę podobne wrażenie przy lekturze tomu wierszy Żywiny. Lechoń recenzując kiedyś jego poprzedni zbiorek („Rozmowa z księżycem“) pisał o „hamowanym wrzuceniu“ i o „karkołomnych trudnościach prostoty“, do której autor „Wilczych zioł“ najwyraźniej podąża. Czyżby w ten sposób wyrażał się u naszych poetów emigracyjnych wpływ angielskiego *understatement*?

Żywina należy do młodszego pokolenia. (Urodzony w roku 1917 na kresach południowo-wschodnich). Debiutował w czasie wojny, którą odbył w dywizji Karpackiej 2 Korpusu. Pierwszy tom poetycki Żywiny ukazał się w roku 1945. Rozrzucone jego wiersze i reportaże znaleźć można w prasie wojskowej tamtego okresu, m.in. także w „Orle Białym“.

Obie omawiane książki posiadają staranną i piękną szatę graficzną. Obwolutę „Dnia Dominika“ wykonała Janina Chrzanowska, obwolutę „Wilczych zioł“ Tadeusz Terlecki. Wniewiata tytułowa, pomysłała jako element stały, który będzie się powtarzał we wszystkich tomach Londyńskiej Biblioteki Literackiej, jest również dziełem Terleckiego.

Dwie pierwsze pozycje Biblioteki pozwalają mieć nadzieję, że nasz emigracyjny dorobek wydawniczy — już obecnie bardzo poważny — jeszcze się znacznie wzbogaci. Będzie to w pierwszym rzędzie zasługą inicjatora Biblioteki i jej wydawcy — Bolesława Świderskiego.

Polskie życie kulturalne

WRAŻENIA ARCHITEKTA I CHOROBA AKTORA

Zupełnie nieoczekiwany wieczór odbył się w „Ognisku Polskim“, ściągając licznych widzów i słuchaczy, zwabionych nieoczywiście wydarzenia. Złożył się nań „Pokaz filmu kolorowego z obecnej Moskwy i Kremla“ z komentarzami autora filmu, prof. Karola Kocimskiego, uczestnika oficjalnej delegacji architektów ze Stanów Zjednoczonych A. P. Trudno byłoby bowiem się spodziewać, że dawny zesłaniec do Rosji Sowieckiej ze Lwowa w pierwszych latach wojennych będzie po kilkunastu latach jednym z gości na przyjęciach na Kremlu i że będzie miał sposobność zebrać dokumentalny materiał o rzeczywistym wyglądzie nie tylko fasady, ale i ukrywanego zakątków stolicy imperium sowieckiego.

To paradoksalne odwrócenie ról nastąpiło zresztą, co wypadła tu podkreślić, bez potrzeby poczynienia ze strony autora filmu jakichkolwiek kompromisów ze swymi przekonaniami. Do tej nieoczekiwanej sytuacji doprowadziła prosta logika wydarzeń. Przed wojną był wybijającym się lwowskim inżynierem-architektem, który wraz z rzeźbiarzem, Marianem Wnukiem, zdobył pierwszą nagrodę za projekt pomnika marsz. Piłsudskiego, który miał stanąć w Warszawie. Przed prawie 10 laty osiedlił się w U. S. A.. Obecnie jest profesorem architektury współczesnej i projektowania monumentalnego na uniwersytecie w Ames (stan Iowa). W lipcu 1958 r. wziął udział w ramach delegacji amerykańskiej w Kongresie Międzynarodowego Związku Architektów w Moskwie, z zadaniem przedstawienia swego projektu serii wydawnictw nowoczesnych architektur narodowych przez wszystkie państwa w świecie.

O tych i innych okolicznościach wizyty w Moskwie można było się dowiedzieć z barwnej i przeplatanej dowcipami prelekcji wstępnej prof. Kocimskiego, po której nastąpił pokaz 30-tu kilku przeźroczystych oraz 400-metrowego kolorowego filmu 8 mm, przedstawiającego sceny z przebiegu kongresu, ważniejsze akcenty architektury nowoczesnej w Moskwie i historycznej na Kremlu oraz wygląd życia na ulicy sowieckiej, a wszystko naświetlone komentarzami autora. Nic nie zastąpi ujrzenia tego filmu, aby zdać sobie sprawę z wrażenia, jakie wywiera obecna Moskwa na mieszkańcu Zachodu. W skrócie oddaje je może najlepiej powiedzenie, że tzw. Pałac Kultury w Warszawie uchodzi za najpiękniejszy okaz architektury sowieckiej. A najokazalsze budynki hotelowe, ministerialne czy uniwersyteckie wyglądają jak repliki wspomnianego budynku w Warszawie.

Architekci amerykańscy w ogóle nie ukrywali się ze swymi opiniami o niedostatkach i wadach nowoczesnej architektury sowieckiej i ze strony sowieckiej nie

próbowano nawet bronić się, przyznając się do popełnionych błędów. Znając język rosyjski prof. Kocimski zdołał dotrzeć i zrobić zdjęcia zupełnie prymitywnych „slumsów“-ruder, które — poukrywane przed wzrokiem podopiecznych Inturista — wciąż znajdują się na przedmieściach. Poznawszy także życie nocne stolicy sowieckiej oraz styl życia mieszkańców różnych sfer społecznych — po przyjeździe do Warszawy, przez którą wracał do Ameryki — nie mógł się oprzeć wrażeniu, iż istniał duży kontrast pod względem przeciętnego poziomu dobrobytu w tych stolicach, wskazujący wyraźnie na stosunek, jaki istnieje pomiędzy krajem zwycięskim a krajem podbitym i eksploatowanym. Rzecz jasna, iż mówca wyraźnie się zastrzegł, iż uwagi swoje opiera jedynie na własnych spostrzeżeniach dokonanych w oglądanych przez siebie ośrodkach miejskich. Słuchacze zgottowali prelegentowi serdeczne przyjęcie.

★

W „Ognisku“ miał miejsce wypadek, rzucający ostre światło na ofiarę pracę aktorów polskich na obczyźnie. Bodaj pierwszy raz w historii teatru emigracyjnego — po rozpoczęciu pierwszego aktu sztuki — musiano zasunąć kurtynę z powodu zasłabnięcia wykonawcy głównej roli. Stało się to na premierze „Teorii Snów Freuda“ Antoniego Cwojdzinskiego. W tej wciąż aktualnej i świeżo brzmiącej sztuce, znanej jeszcze przed wojną z teatrów warszawskich, główne role objęli Krystyna Dygat, jako „aktor-ka“ i Wojciech Wojtecki, jako „kierownik literacki teatru“.

Zaledwie zaczął się zawiązywać dialog między tymi postaciami, gdy nagle Wojciech Wojtecki musiał opuścić scenę, gdyż bardzo poważnie zasłabł. Po zasunięciu kurtyny wezwano obecnego na sali lekarza, który zalecił przerwanie przedstawienia i wypoczynek dla aktora. Zasłabnięcie nastąpiło na skutek przepracowania, wywołanego długo przeciągającymi się próbami i przygotowawczymi do występu, odbywającymi się po wyczerpującej pracy zarobkowej. W nadziei, że będzie to niedługo niedyspozycja, kierownik „Teatru Nowego“ — Stanisław Belski, reżyserujący sztukę, zaprosił obecnych na następne przedstawienie względnie zapowiedział zwrot za bilety. W. Wojtecki musiał objąć tę rolę z powodu niemożności przyjazdu z Kraju Z. Sawana. (n)

Swój do swego

POPIERAJĄC FIRMY POLSKIE
WZMACNIAMY SIĘ NAWZAJEM!

JEDYNA
POLSKA FABRYKA WĘDLIN
W PARYŻU

kierowana przez
b. kombatantów

„REX“

ROK
ZAŁOŻ. 1929

16, rue des Boucheries, ST-DENIS (Seine). — Tel.: PLA 05-54

Poleca wszystkie wędliny polskie w najlepszym gatunku,
wyrabiane przez specjalistów dyplomowanych z Polski.
SPRZEDAŻ WYŁĄCZNIE HURTOWA I EKSPORT.

Żądajcie wyrobów firmy „REX“ w pierwszorzędnym sklepach francuskich i rosyjskich, a szczególnie w jedynym polskim sklepie spożywczym w Paryżu, pod kierownictwem p. LEBIODY.

4, RUE DE FOURCY, PARIS 4-e. — Metro: Saint-Paul

UWAGA POLACY WE FRANCJI!

LEKI — MATERIAŁY — ŻYWNOSĆ

Największy Polski Dom Wysyłkowy na świecie

T A Z A B Ltd.

TAZAB HOUSE
22, ROLAND GRDS., LONDON S.W.7.

Na terenie FRANCJI wysyła katalogi, próbki oraz przyjmuje zamówienia na wysyłkę paczek do POLSKI i ROSJI

ELKA SARL (Syrena)

20, RUE LEGENDRE, PARIS 17

Na składzie wszystkie towary poszukiwane na rynkach krajowych i stałe informacje co opłaca się najkorzystniej wysyłać.

SPECJALNOŚĆ: Lekarstwa produkcji angielskiej, francuskiej, szwajcarskiej i innych przodujących fabryk światowych po konkurencyjnych cenach eksportowych. Odczytywanie i wykonanie recept krajowych.

PO NIEPOWODZENIU KONFERENCJI GENEWSKIEJ

Wizyty Moskwa - Waszyngton nową fazą polityki światowej?

(Wydarzenia i uwagi)

MIĘDZYNARODOWA opinia polityczna skupiona jest wciąż na kapitalnym zagadnieniu istotnego znaczenia i prawdopodobnych następstw zapowiedzianych wizyt na linii Moskwa — Waszyngton. Sensacyjna ich zapowiedź przysłała równocześnie z zakończeniem obrad konferencji czterech ministrów spraw zagranicznych w Genewie i dokonała w ten sposób automatycznie przeniesienia głównego ośrodka polityki światowej z płaszczyzny zespołu mocarstw zachodnich, rokujących z Sowietami, na wyższy i wyższy zarazem szczebel spotkania najpotężniejszej dwójki.

Komentarze tego ważnego zwrotu w dyplomacji światowej są zgodne w niektórych punktach i posiadają znaczną rozpiętość oceny w innych. Zgodny i niesporny jest pogląd, że konferencja ministrów spraw zagranicznych skończyła się niepowodzeniem, co stwierdził przed jej zamknięciem wyraźnie nawet brytyjski Selwyn Lloyd, najgłośniejszy jej orędownik, używając niedwuznacznego słowa „failure”. To samo zawierało się w końcowym przemówieniu amerykańskiego Sekretarza Stanu, Ch. Hertera, który podkreślił nieustępliwość sowiecką na całej linii, dyskutowanej podczas dziewięciu tygodni rokowań genewskich, problematyki Berlina i zjednoczenia Niemiec.

Zgoda też panuje na ogół, że — mimo kurtuazyjnych gestów i zaprzeczeń Waszyngtonu — inicjatywa międzynarodowa została w ten sposób przejęta w szczególności z brytyjskich rąk premiera Macmillana do amerykańskich prez. Eisenhowera. Dodatkowo komentatorzy polityczni podkreślają, że to ujęcie bezpośrednio przez Prezydenta Stanów międzynarodowego kierownictwa stanowią nowość, za życia J. F. Dullesa nie do pomyslenia. Nie ma już natomiast jedności, gdy chodzi o ocenę, jakim zmianom polityka Waszyngtonu pod bezpośrednim kierunkiem prez. Eisenhowera ulegnie.

Sam Prezydent starał się nadać tym możliwościom najbardziej ograniczony charakter. Oświadczył, że wizyty nie staną się okazją do rokowań, że nie dopuści zwłaszcza do traktowania spraw sojuszników Ameryki ponad ich głowami oraz zaproponował przed wizytami sowiecko-amerykańskimi spotkanie swoje z przedstawicielami głównych państw Przymierza Atlantykckiego na ich własnym terenie, w Europie. Niektórzy komentatorzy minimalizują też znaczenie wizyt Chruszczow—Eisenhower, jako związanych głównie z celami polityki wewnętrznej Stanów Zjednoczonych czy Rosji Sowieckiej oraz mających stanowić dymną zasłonę zasadniczego konfliktu interesów na terenie Europy, ujawnionego przez fiasco konferencji genewskiej.

Są jednak poważni publicyści o światowym imieniu, którzy przewidują albo zarazem sugerują zasadniczy zwrot polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych w bezpośrednich rękach prez. Eisenhowera, „wyzwolonego” spod wpływów zmarłego Sekretarza Stanu. Przewidywane takie można znaleźć, choć dyskretnie sformułowane, w artykule J. Alsopa, a jawne, stanowcze i połączone z daleko idącymi sugestiami w artykule Waltera Lippmanna, obu publicystów „New York Herald Tribune”, piszących w tym samym wielkim dzienniku Ameryki, ale reprezentujących odmienne kierunki ideowe.

J. Alsop w artykule „Dywidenda Nikity Chruszczowa” z 6 bm., po stwierdzeniu, że zaproszenie do Waszyngtonu jest urzeczywistnieniem

dawnego zamiaru sowieckiego premiera i jego niespornym sukcesem, wymienia naprzód zle strony tej wizyty. Po wyczerpaniu ich sumiennym i przekonywującym, J. Alsop kończy jednak swoje wywody dość zaskakującą a zagadkowo brzmiącą informacją. Powołując się mianowicie na amerykańskiego ambasadora w Moskwie, L. Thompsona, informuje jakoby Chruszczow od dawna twierdził, że ma coś niezmiernie ważnego do powiedzenia, ale tylko samemu prez. Eisenhowerowi w cztery oczy. O cokolwiek tu chodzi, czytamy w konkluzji, przeważało zdanie, że warto tego posłuchać i to, nawet według Alsopa, usprawiedliwia zaproszenie sowieckiego premiera.

Dopiero artykuł W. Lippmanna dostarcza wysoce niepokojącego zresztą klucza, co amerykańscy komentatorzy mają tu na myśli i czego od Chruszczowa niektórzy z nich się spodziewają. Pod tytułem „Nowy kurs Eisenhowera”, Lippmann przede wszystkim przyznaje, że obawy zrodzone wśród społeczeństw zachodniej Europy są uzasadnione, ponieważ ten nowy kurs „musi w sposób subtelny lecz istotny zredukować i ch wywodzi. Dlaczego? Konferencja ministrów w Genewie, rozumuje Lippmann, wykazała, że przy koniecznej jedności Ameryki z europejskimi sprzymierzeńcami osiągnięcie porozumienia z Sowietami nie jest możliwe. Rozmawiając we dwójkę natomiast, prez. Eisenhower nie będzie wprawdzie przemawiał imieniem sojuszników, lecz tylko własnym, ale za to będzie mógł brać pod uwagę wszystko, co uzna za stosowne.

Bezpośrednio po tym stwierdzeniu Lippmann pisze wyraźnie, o co mu chodzi: „Mamy wiadomości, że po wizycie w naszym kraju p. Chruszczow odwiedzi swego chińskiego sprzymierzeńca w Pekinie. Jeśli to prawda, wiadomość jest b. interesująca. Albowiem to by wskazywało, że rozmowy Eisenhower—Chruszczow będą miały globalny zasięg, a nie zęrodzają się jedynie na szczegółach tymczasowego załatwienia sprawy zachodniego Berlina”.

WDALSZYM ciągu Lippmann stara się odnaleźć wspólnotę interesów Moskwy i Waszyngtonu, w jednym punkcie szczególnie dla sprawy naszej niepokojąca: „Sowiety przyjęły 7-letni plan rozwoju przemysłowego, który byłby zruinowany przez wojnę, a jest szczególnie obciążony wyścigiem zbrojeń... Co więcej, ciężary te... utrudniają Związkowi Sowieckiemu udzielanie pomocy Chinom, co jest konieczne dla podtrzymania sowiecko—chińskiego przymierza... My, (Stany Zjedn.) kontynuujemy autor, także odczuwamy zimną wojnę, jako coraz uciążliwszą. Co więcej, zaczynamy zdawać sobie sprawę, że zajęci zimną wojną w środkowej Europie, zaniedbujemy nasze b. ważne interesy w Płd. Ameryce” (podkreślenia cyt.).

W konkluzji Lippmann zwraca się o uwagę pod uwagę jego sugestii imiennie do wiceprez. Nixona i do kie-

rownictwa republikańskiej partii, czyli do czynników najbardziej czułych na niebezpieczeństwo chińskie i sprawy zach. półkuli, zwłaszcza kontynentalne oraz na... szanse wyborcze w roku 1960. Odwrócenie się od Europy i ułożenie z Sowietami jej kosztem, a dla uzyskania spokoju ze strony Chin na Pacyfiku i płd. wschodniej Azji oraz na terenie płd. amerykańskim ze strony penetracji komunistycznej kierowanej przez moskiewską centralę, miałyby stać się celem rozmów Eisenhowera z Chruszczowem.

Jest to niedopowiedziany sens przytoczonego artykułu Lippmanna, jednego z czołowych orędowników przyzanej koegzystencji dwu największych mocarstw, Ameryki i Rosji Sowieckiej, mających podać sobie dłoń nad głowami kilkudziesięciu mniejszych narodów i setek milionów jednostek ludzkich, ujarzmionych albo zagrożonych niewolą w Europie i Azji. Lippmann, licząc się z prawdopodobnym zaniepokojeniem komunistów chińskich ewentualną możliwością porozumienia Moskwa — Waszyngton, sugeruje nawet Chruszczowowi argumenty: jeśli nie dogadamy się z Ameryką, nie będziemy mogli wam dalej pomagać.

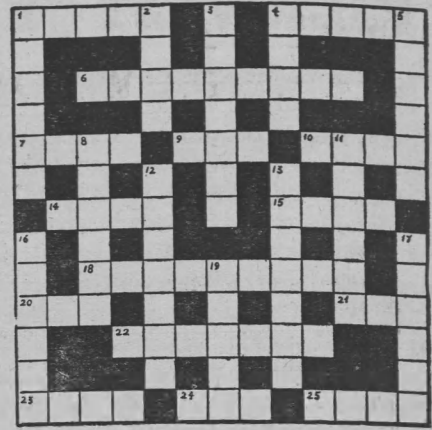
A własnej opinii narodowej, której postawa moralna podtrzymywała dotąd politykę przynajmniej zasadniczo nie uznawania niewoli wschodniej

części Europy, podsuwa Lippmann również chytne uzasadnienie ostatecznego porzucenia tej sprawy: sobie za to spokój na zachodniej, naszej półkuli, mianowicie rezygnację Moskwy z podburzania przeciw nam mniejszych narodów amerykańskich obu kontynentów.

Cynizm „programu” Lippmanna równa się jego płytkości i krótkowzroczności, zapoznającej losy wszelkich układów zawieranych z Sowietami i nigdy przez Moskwę nie dotrzymywanych. Trudno uwierzyć, aby linia ta została przyjęta, zwłaszcza przez prez. Eisenhowera, który docenia wartość czynników moralnych w polityce i posiada już dostateczne doświadczenia perfidii i wiarołomności sowieckiej. Tak radykalna zmiana polityki Waszyngtonu po śmierci J. F. Dullesa nie jest także do pomyslenia dlatego że prez. Eisenhower szedł przecież z przekonania a nie pod przymusem po linii zmarłego, wielkiego Sekretarza Stanu.

Pozostawiając komunizmowi półkulę wschodnią, nie zasnaby Ameryka nie tylko spokoju na własnej zachodniej. Nie miała by już szans obrony nawet samych Stanów Zjednoczonych przed zwycięską, komunistyczną Eurazją.

KRZYŻÓWKA KONKURSOWA Nr 334/59



Znaczenie wyrazów.
Poziome: 1) bitwa w czasie Powstania Listopadowego; 4) znak Zodiaku; 6) imię męskie; 7) i 10) gwar, rozmowa; 9) i 24) długi strój; 14) i 15) jeśli taki, to szybko się wypala; 18) twierdza w ujściu Newy; 20) liściebnik używany w przykładzie mnożenia; 21) idzie przed Babą; 22) w starożytności postać rzeczywista, dziś określa zajęcie; 23) i 25) rozstrzygnął ją Bluecher.

Pionowe: 1) niedozwolona wycieczka; 2) ziemia; 3) miejscowość w powiecie malborskim, gdzie wojsko pruskie strzelało do podających się powstańców listopadowych (Mickiewicz); 4) pierwszy grzech; 5) wszystko co nas otacza z nami; 8) opóźnienie; 11) Róża lub Lilla; 12) kiedyś nazywano tak człowieka wsi, dziś tak określa się nieuka; 13) państwo w Azji; 16) mamy go dla ludzi lub rzeczy niezwykłych; 17) tak jak na lodzie; 19) stamtąd wyszła szkoła malarska.

Termin nadsyłania rozwiązań do 26. 9. 59.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Nr 327/59

Poziome: 2) dziwożona, 7) pasma, 8) pstre, 9) tresura, 12) i 14) ambona, 15) Kreml, 16) imam, 17) suma (wspak), 20) cykuta, 22) baczki, 23) arkan, 24) dobroczynność.

Pionowe: 1) zaprzaniec, 3) zamęt, 4) opryszek, 5) nisza, 6) Sieniawski, 10) ryk, 11) lir (wspak), 13) blanki, 14) osmoza, 18) stado, 19) banan, 21) i 22) arba.

P O K R Z Y W Y
NOWY NUMER!
Bogato ilustrowane
Cena egz. 1/6 lub 30 centów
Odra Press — 169, Battersea Ch. Rd.
Londyn, S. W. 11.

MIEDZY PLOTKĄ I ANEGDOTĄ

Przeinaczanie i wykoszlawianie obcych nazw i nazwisk jest tak powszechnym zjawiskiem we wszystkich gazetach na świecie, że irytacja z tego powodu należy do złogów tonu. Błędy to ludzka rzecz. Sam odczytem się już dawno naśmiewać się z obcych pomyłek, gdyż śmiech taki jest jak bumerang: ani się nie obejrzyj, gdy wróci w locie i nabije ci większego guza, niż guz, który chciałeś nabici nieznanemu lub znanemu koleźce po fachu.

Nic więc dziwnego, że gdy zdarzy się nam przeczytać w obecnej gazecie poprawną pisownię polskiego nazwiska, zaczynamy się w swym niepoprawnym optymizmie domyślać, iż gazeta „jest wyjątkowo dla nas przychylna”, iż mamy w niej „wpływy” i że, kto wie, może w redakcji siedzi zaczajona wtyczka naszej dwójki, która czuwa nad dobrem sprawy polskiej.

W moim przekonaniu poprawna pisownia słów polskich zdarza się w gazetach obcych tylko przez pomyłkę. Pomyłkę taką stara się natychmiast naprawić korektor lub redaktor techniczny. Jeśli w tekście przeczytamy, że n. p. „Kowalski” zrobił to lub owo, można się założyć, że nazwisko jego w tytule zmieni się na „Kowalski”, „Kowalski” lub „Kawalski”. W bardzo porządnym i znakomicie swych czytelników informują-

cym piśmie włoskim przestudiowałem artykuł, w którym znalazłem 6 (słownie: sześć) odmian nazwiska „Cyrankiewicz”. Był więc: Cyrankiewicz, Cirankewicz, Cyeronkiawicz, Ciarynkavics, Ciranchewic i Cyriankewits. Nie było tylko Cyrankiewicza. Zdumiewających wyczynów dokonał „New York Herald Tribune” z nazwą pałacu myślenickiego, w którym mieszkał Nixon w Warszawie.

„Mister” i „Monsieur”

Wyjątek w tym względzie stanowi prasa angielska. Oczywiście poważna, nie zaś milionowe nakłady wieczorników, których redaktorzy nie znają nawet własnej angielskiej pisowni, co więc mówić o naszych słowiańskich spacjiach. Natomiast „Timesy”, „Daily Telegraphy” i inne „Manchester Guardiany” wypisują nasze spółgłoskowe kombinacje nadzwyczaj starannie, dodając za to przed nazwiskiem nie „Mr” co oznacza „Mister”, lecz „M” co oznacza „Monsieur” i jest piętnem nakładanym na cudzoziemca w podobnym celu w jakim niedgdy obcinano przestępców uszy.

Zeby każdy wiedział, że ów „Monsieur” o „niewymawialnym” („unpronounceable”) nazwisku jest istotą w uczynaniach swych, powiedzeniach i myślach — niepoważna.

Moja zemsta nad „Le Monde”

Od czasu oficjalnej zmiany nazwiska królowej Francji z domu Leszczyńskiej na „Marie Legzińska” dziennikarze francuscy uważają się za ekspertów nie tylko pisowni, lecz także historii Polski. Czytamy oto w artykule na str. 3 paryskiego „Le Monde” z dnia 4 bm.: „M. et Mme Nixon... tout le long du parcours conduisant de Babice au palais Myskiwiecki, ancien pavillon de chasse du dernier roi de Pologne, Joseph Poniatowski...”

Za „pawilon myśliwski ostatniego króla Polski, Józefa Poniatowskiego” zapowiadam zemstę. Napiszę kiedyś coś — tylko nie wiem jeszcze gdzie i kiedy — co by w tłumaczeniu na francuski brzmiało tak: „M. et Mme Eisenhower... tout le long du parcours conduisant d'Orly au palais de la Fontaine Bleue, ancien pavillon de pêche du dernier roi de France, Philippe Egalité...”

Uczony Białous i doświadczony Geronimo

Okropnie się irytował „swobodny człowiek radziecki” w uroczej miejscowości Swierdłowski, że Amerykanie utrzymują bazy wojskowe w Europie, gdy nie ma ich wcale Rosja sowiecka. Wypomniął to gorzko i z własnej, obywatelskiej, inicjatywy, Nixonowi. „Czyż wasze wojska nie stoją w Polsce, w Niemczech Wschodnich i na Węgrzech” — odpowiedział pytaniem wiceprezydent Stanów Zjednoczonych. „Nie, nie stoją” — zapewnił go uczony Białous, tak bowiem nazywał się jego rozmówca.

Gadaj z takim. Otóż właśnie w tym jest sęk. Gadać z takimi czy nie gadać. Są dwie szkoły myślenia. Jedna twierdzi, że skoro z gadania nie

nie wynika, gadać nie należy. Druga głosi, że gadać należy zawsze i z każdym kto, ma na gadanie ochotę. Najlepiej zaś, gdy się uprzejmość posunie dalej i gadając, przyniesie się z góry rację temu, z kim się gada. W konkretnym wypadku powinno się być przynajmniej uczonemu Białousowi ze Swierdłowska.

Czerwonoskórzy mieszkańcy prerii Dalekiego Zachodu amerykańskiego mieli własne poglądy na sprawę gadania. Uważali, że jest nieprzyzwoitością brać się za lby nie poprzedzwszy tego wypadku kilkudziesięciogodzinnym obgadaniem wszystkich spraw spornych z przedstawicielami plemienia, przeznaczonych na wyrznięcie. „Będziemy mieli wielką wojnę z Komanczami, mówił Geronimo, wódz Apaszów, zaufanym żonom, zaprosili mnie bowiem na „palaver”, by obgadać jak najlepiej żyć z nami w zgodzie”.

Pomnik Sobieskiego w Londynie

Cóż to znowu? — zawołać powinien zamomwiony na Ealingu „Polak londyński” — nigdy nie słyszałem! Gdzie ten pomnik stoi?

Otóż nie stoi, lecz stał aż do roku 1736. Po tej dacie bowiem przeniesiono go do siedziby rodu Vylerów w Newby Hall, koło Ripon. (Można znaleźć na mapie). Gdy stał w Londynie miał upamiętnić wdzięczność „City” Karolowi II za jego energię i pomoc w czasie wielkiego pożaru Londynu w r. 1666. Skomplikowana sprawa. Prawda? A było to tak. Ojcowie miasta Londynu postanowili uczcić swego króla. Sprawą zajął się niejaki Robert Vyner. Człowiek z natury oszczędny, pragnął, by pomnik kosztował jak najmniej. Dowiedział się, że na wybrzeżu koło Tower spoczywa pomnik Jana III zamówiony u rzeźbiarza Lathama. Pomnik spoczywał i spoczywał w stanie gotowym do transportu, gdyż rzeźbiarz nie chciał pozwolić na jego załadowanie na statek, dopóki nie dostanie umówionego honorarium. Gdyby nie Vyner spoczywałby tam pewno do dziś i kto wie, czy nie musiałoby go wykupić S. P. K.

Stalo się jednak inaczej. Latham uznał, że lepsze parę funtów w garści niż niepewne tynfy w dalekim Gdańsku i odsprzedał Jana III obrotowemu kupcowi londyńskiemu, zgodziliśmy się także na dokonanie kilku niezbędnych poprawek. I tak pod dżumem rzeźbiarza znikły wąsy Sobieskiego, a czapa z czapliki piórkami zamieniła się na trefione w kamieniu loki. Uturbaniony Turek wijący się pod kopytami podolskiego dzianeta zamienił swe pohańskie oblicze na podobiznę Olivera Cromwella.

I stanęło owo dziwo na targowisku, zwanym Stock Market, które dziś znikło pod murami Mansion House. Nie wiadomo, czy ojcowie miasta pozbyli się pomnika z powodu jego humorystycznego wyglądu, czy też po prostu uznali, że nie godzi się drażnić nowych królów z rodziny hanowerskiej przypominaniem zasług „wesolego monarchy” z poprzedniej dynastii.

J. P. H.

MATERIAŁY, LEKARSTWA, ŻYWNOSĆ
najszybciej, najkorzystniej, najlepiej
wyslesz przez
P. C. STORES
S. BREWKA
Queens Gate Terrace, London, S. W. 7.
Tel. KNI 0747

WŁADYSŁAW POBÓG-MALINOWSKI

Warszawskie edycje Wańkowicza

PI SARZE, którzy po dłuższym pobycie na emigracji, wymienili zachodnią wolność na „demokrację ludową”, stosują — po powrocie do kraju — intratną zasadę przedruków. Cat-Mackiewicz, Zofia Kossak, Melchior Wańkowicz i wszyscy inni, książki swe, przed laty napisane i wydane tu, rzucają w obieg w nowej, krajowej, edycji. Trud niewielki, zysk zaś przy względnie wysokim nakładzie wcale niemały!... Przypomina mi się tutaj znana bajka Mickiewicza — wilk, co to „skóra a kości”, i pies Bryś o „bernardyńskim karku, o sędziowskim brzuchu”. Bryś, z pogardliwym współczuciem patrząc na wilka, namawia go, by „lajdackich po polu wyrzekł się swistań” i by do dworu „na służbę przystał”.... Służba? „Wyśmienita!”, no bo trzeba tylko „dziedzina pilnować, przybycie gości szczeniem głosić, na dziada warknąć, żyda potarpmosić, panom pochlebiać”.... Wilk, słuchając tych „zachwalań”, dostrzegłszy nagle: „A to co?” — Bryś zaś lekceważąco: e, nic wielkiego! tu mi „trochę przyczesano”, bo — „widzisz” — „na noc kładą mi obróżkę, ażeby lepiej pilnował folwarku!...”

Takie „przyczysywane ślady po obróżce” rzucają się w oczy w każdej krajowej edycji książek, poprzednio na emigracji wydanych. Panu Wańkowiczowi już w roku zeszłym wytknięto, że wydając w kraju swoje „Monte Cassino”, zmienił je i zniekształcił w niejednym momencie, dostosowując się do wskazań komunistycznej cenzury. Cóż uczynił w dwóch ostatnio w Warszawie wydanych książkach: o „Westerplatte” i o „Hubalczykach”?

Obie są przedrukami dwóch fragmentów z „Września zagwiącego”, wydanego w Londynie w r. 1947. Obie, razem wzięte, stanowią mniej, niż połowę „Września”. Dlaczegoż to p. Wańkowicz nie przedrukował całości? Nie dziwny się!... Wrzesień zagwiący to jedna z tych książek, która tak dobitnie mówiła, że zwała się wtedy na Polskę nie tylko potęgą Rzeszy Hitlera. „Wrzesień zagwiący” to obraz obrony Polski także przed najazdem moskiewskim ze wschodu. A przy tym — wielki stuśtronicowy prawie fragment poświęcony tu jest gen. Andersowi — mówi o tym, jak to oddziały Andersa po walce z Niemcami bić się musiały z sowiecką armią Tiuleniewa, mówi też o powrzesniowych losach gen. Andersa, o tym, jak go Moskale „wzięli do niewoli”, o straszliwych warunkach pobytu jego w moskiewskim więzieniu, o tym, kiedy i jak został z więzienia wypuszczony... A obok tego drugi — też obszerny fragment — o gen. Sosnkowskim i o zwycięstwie jego w rejonie Lwowa. Dziś — w Polsce „ludowo-demokratycznej” — jak o Andersie, tak o Sosnkowskim można pisać tylko źle, tylko jak najgorzej, tylko metodą Jerzego Klimkowskiego. Nie ma mowy, by p. Wańkowicz mógł ogłosić dziś cokolwiek z tych dwóch rozdziałów, pełnych uznania, szacunku, entuzjazmu dla obu tych generałów. Nie ma też mowy i o tym, by mógł p. Wańkowicz dać cokolwiek ze swych sądów o Rosji, o moskiewskiej armii — sądów, tak mocno brzmiących we „Wrześniu zagwiącym”...

Z tych powodów zmuszony do dokonania wyboru — p. Wańkowicz wybrał ze swego „Września zagwiącego” dwa tylko fragmenty — o „Westerplatte” i o „Hubalczykach”, które — zdawało się — w krajowych warunkach nie nastroją większych trudności. Większych — bo nawet i tutaj musiał p. Wańkowicz zastosować drobne, ale dość liczne zabiegi chirurgiczne.

Najpierw — zajrzyjmy do „Westerplatte”. Bohaterski ten epizod września — to początek wojny, to walka z Niemcami tylko. Zdawałoby się więc... a jednak!... W wydaniu emigracyjnym na str. 19 czytamy: „W gruncie rzeczy wojna postanowiona została ostatecznie od dnia 23 sierpnia, tzn. od chwili podpisania paktu sowiecko-niemieckiego. Hitler chciał wojny przez cały czas, ale zdecydował się na nią dopiero wówczas, kiedy zapewnił sobie pomoc Stalina”.... Z całego tego zdania w obecnym przedruku krajowym na stronie również 19 nie ma ani jednego słowa!...

Albo przykład drugi: na str. 63 wydania emigracyjnego, a na str. 71 wydania krajowego opisuje p. Wańkowicz Ankonę, uważaną w r. 1945 za „małą Polskę”. I tu i tam — niby to samo, a przecież — inaczej!... W wydaniu emigracyjnym pisał p. Wańkowicz, że „plac najpiękniejszy w Ankonie był placem gen. Andersa”. W wydaniu krajowym ani cienia wzmianki o Andersie; „najpiękniejszy plac w Ankonie” — zginął bez śladu!... Są to amputacje drobne, ale jakżeż wymowne!...

Przejdźmy do „Hubalczyków”. Major Henryk Dobrzański, znany pod pseudonimem „Hubala”, stworzył już we wrześniu 1939 r. pierwszy w Polsce oddział partyzancki i w walce z Niemcami, na obszarze między Spalą i Górą św. Krzyża, przetrwał aż do wiosny r. 1940. Zginął w końcu kwietnia 1940, w bitwie pod Studzienną, a wraz z jego śmiercią i oddział jego uległ rozwiązaniu. Opowieść swą, czy raczej rapsod swój o Hubalu p. Wańkowicz w wydaniu emigracyjnym zaczyna od opisu wypadków w Hucie, w pobliżu Grodna. Trzystronicowego tego wstępu w edycji krajowej — nie ma!... Dlaczego? Bo już w pierwszym zdaniu mówi, że ulan dowiedzieli się tu, „z ust gen. Przedzieckiego, że do Polski wkroczyli bolszewicy”. Zdanie następne brzmi: „większość — szła instynktem prawieczym do ośrodka, jaśniejącego Ostrąbramą, polskością, pamięcią szubienic Murawiewa, męką”.... Trochę niżej mowa o „pierwszych strzałach bolszewickich dywersantów”.... Nieco dalej: „Na kociach łbach Grodna, po których zagrzętały już gąsienice bolszewickich czołgów”, wchodzących ulanów „powitał, jak znak, jak memento, jak upomnienie — samotny trup polskiego żołnierza, leżący przy bolszewickim czołgu, który przed śmiercią spalił”.... Tuż zaraz: „Kiedy kolumna sowieckich czołgów szła przez most na Niemnie, na Mostowej wyskoczyło z bramy domu dziecko — kadet jedenasto-dwunastoletni, z butelką benzyny. Blyskając kadeckim słońcem na czapce — spalił czołg. Kilkanaście czołgów bolszewickich z pozamykanymi kłapami, z których nie zdołały ująć załogi, zniechęciło na tych śmiesznych, półwsiowych uliczkach Grodna... I wreszcie: „Z Grodna cofali się dalej — na Sopoćkinie... Leżący na krzyżówce trup gen. Olszyny-Wilczyńskiego ostrzeżał”...

Usunąwszy cały ten trzystronicowy wstęp z takimi obrazami — p. Wańkowicz i dalej, raz po raz, dokonywuje cięć. Wykreśla więc trzy wiersze, mówiące o pierwszym nocnym spotkaniu Hubala z Moskalami. Krzyk ich: „Kto idiot?!“ i „jakieś serie na ślepo macające po ciemności”.... O trzy strony dalej usuwa p. Wańkowicz także zdanie: „A za Bugiem już im znów oddział sowiecki zaszedł od czoła”, ale „widząc zdecydowaną postawę — uchylili się od walki”.... Tę swoją arcygorliwą dbałość, by nigdzie niczym Rosjan nie zaczepić, posuwa p. Wańko-

wicz tak daleko, że zdanie, gdzie w wydaniu emigracyjnym Hubal, wspominając rok 1920, mówi: „Kula bolszewicka się mnie nie miała” — zmienia w wydaniu krajowym na: „Żadna mnie kula nie tknęła”, i wiąże to nie z wojną polsko-rosyjską r. 1920, lecz mówi ogólnie: „pierzcha wojna!... Jaskrawszy przykład na stronie tuż obok. W wydaniu emigracyjnym pisał p. Wańkowicz, że jeden z żołnierzy Hubala, kpt. Kalenkiewicz, w r. 1943 broni ziem wschodnich, „najeżdżanych (znów) przez bolszewików” i „ginie w nierównej walce, położywszy trupem kilku przeciwników”. W obecnym wydaniu krajowym zdanie to zmienia p. Wańkowicz nie do poznania; mówi wprawdzie, że Kalenkiewicz „ginie w nierównej walce”, że „położył trupem kilku przeciwników”, ale — ani słowa tu o ziemiach wschodnich, o ponownym moskiewskim najeździe, ani cienia wzmianki o bolszewikach!...

Takich przykładów okrawiania i zniekształcania można by wyszukać więcej. Ale czy warto? Czyż tych przytoczonych już nie wystarczy na to, by stwierdzić, jaki charakter i jaki cel mają te wszystkie amputacje i przeróbki?... Falszować historię można nie tylko przez rozsiewanie jawnych kłamstw. Falszować historię można także przez niedomówienia, przez przemilczanie, przez wybiegi, zniekształcające sens zdarzeń... Nie sądzę, by p. Wańkowicz — po najdłuższym, daj mu, Boże, życiu, kładąc się do grobu, był zadowolony i był dumny z tej nowej swojej roli w polskim piśmiennictwie!...

Chciałbym jednak zwrócić uwagę na dwa jeszcze momenty. Stosunek p. Wańkowicza do opisywanych wydarzeń i postaci można określić jako przykład patriotycznego patosu, typowego polskiego entuzjazmu dla tych spraw, uwielbienia, zachwytu. A skoro tak, to chyba można byłoby się spodziewać od p. Wańkowicza, jeśli już nie pietyzmu, to przynajmniej poprawności w podawaniu szczegółów. Niestety, trzeba zrobić tu p. Wańkowiczowi zarzut niechlujności. Co można było mu wybaczyć przed dwunastu laty, gdy wydawał tutaj swego „Września zagwiącego”, — dziś wymaga wytknięcia, bo w ciągu tych dwunastu lat poogłaszano wiele relacji i dokumentów. O Hubalu pisali np. Wacław Śledziński w „Swastyce nad Warszawą”, Józef Wyrwa w „Pamiętnikach partyzanta”, ba! — nawet w warszawskich czasopiśmie w roku zeszłym ukazały się relacje żołnierzy Hubala — Józefa Alieckiego i Marka Szymańskiego. Podobnie — z Westerplatte. Londyńska „Bellona” ogłosiła — pośmiertnie — relację mjr. Henryka Sucharskiego, dowódcy załogi, w Polsce, w roku 1957 ukazała się książka zastępcy Sucharskiego, kpt. Franciszka Dąbrowskiego, ostatnio — tom wspomnień, relacji i dokumentów w opracowaniu Zb. Flisowskiego. P. Wańkowicz nie zadał sobie trudu, by zajrzeć do tych nowych źródeł!... Jakżeż wobec tego — w istocie swej — wygląda ten jego patos, zachwyty, uwielbienie!... Powtarza wszystkie swoje błędy i nieścisłości sprzed dwunastu lat!... Przykładem najbardziej rażącym jest tu sprawa kpt. Kalenkiewicza.

P. Wańkowicz i w dawnym emigracyjnym, i w nowym, krajowym wydaniu nazywa go „Kalinkiewiczem”, każe mu używać pseudonimu „Kotwicz”, gdy w rzeczywistości występował jako „Kotwicz”; p. Wańkowicz każe mu ginąć w r. 1943, gdy w rzeczywistości „Kotwicz” - Kalenkiewicz, już podpułkownik, zginął w sierpniu r. 1944, na Wileńszczyźnie, gdy Mo-

skale, po „wyzwoleniu” Wilna rozbrajali oddziały A.K., uchodzących przez Puszcze Rudnicką ścigali samolotami i bronią pancerną, schwytych osadzili w obozie, potem wywozili do swoich łagrów na dalekiej północy.

Podpułkownik „Kotwicz” - Kalenkiewicz, osaczony przez ścigających Moskali, broni oddać nie chciał, i w walce poległ pod Surkontami; razem z nim zginęło 32 z jego żołnierzy. „Położył trupem” wtedy nie „kilku przeciwników”, lecz — 132 bolszewików!... Szczegóły te znalazłby p. Wańkowicz bez trudu, choćby w 3-im tomie wydanych w Londynie „Polskich Sił Zbrojnych”. To, co pisze arcybala-mutnie o zrzuceniu „Kotwicza” na spadochronie „w r. 1943” — mógłby sprostować, zajrawszy choćby do relacji Marka Celta (pseudonim) pt. „Koncert”, ogłoszonej w londyńskiej „Nowej Polsce” w r. 1945... P. Wańkowicz, dokonywując intratnego przedruku nie uznał potrzeby, nie poczuł moralnego obowiązku zajrzenia do tych źródeł. Czymżeż jest więc jego „patriotyczny patos”, jego „zachwyty” i „uwielbienie”?... Do wymagań cenzury dostosowuje się najpotulniej a obowiązki moralne kronikarza czy dziejopisa — lekceważy!... Cynizm jest tak jawny, jak „patos” jest teatralnie sztuczny!...

Moment drugi — to sprawa Hubala. Był on niewątpliwie połączeniem ładnej, choć prymitywnej formy gorącego patriotyzmu, szaleńczego bohaterstwa ulańskiej fanfaronady i wręcz zbrodnictwa warcholstwa. Nie chciał uznać żadnego nad sobą zwierzchnictwa, partyzantki swej nie przerywał, mimo zakazów kierownictwa Podziemia i mimo, że pociągala za sobą straszliwe represje Niemców. Wsie, w których kwaterował lub w pobliżu których walczył — Niemcy palili, ludność ich mordowali, w jednym wypadku nawet dzieci zamknęli w szkole i spalili je żywcem!... Ponadto — na skutek akcji Hubala Niemcy aresztowali i wywieźli na mękę i na śmierć do obozów kilkuset ludzi z rejonu Sandomierza, Ostrowca, Skarżyska, Radomia, Tomaszowa.

Dlaczego zwracam uwagę na ten moment? Nie dlatego tylko, że p. Wańkowicz najwyraźniej gloryfikuje Hubala, przez patetyczny sposób pisanania daje jakiś „rapsod bohaterski”, tworzy — słowem — „Hubalową legendę”.... Mówię o tym także dlatego, że po ukazaniu się w kraju Wańkowiczowego „Monte Cassino” padały w prasie komunistycznej na niego zarzuty-gromy, iż swoją księgą podsyca „chorobliwy w społeczeństwie głód bohaterstwa”. Dziś — po ukazaniu się „Hubalczyków” — takich pretensji-gromów nie słyszy się jakoś... Czy ma to być — wyrazem komunistycznej hierarchii pojęć o zasłudze?

Plany i nadzieje Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego

W roku ubiegłym Katolicki Uniwersytet Lubelski obchodził 40-lecie swego istnienia. Kat. Uniwersytet Lubelski utrzymuje się wyłącznie ze składek społeczeństwa polskiego, a w szczególności Towarzystwa Przyjaciół KUL, oraz z darów i pomocy Polonii zagranicznej.

O nowych planach KUL pisał ostatnio krakowski „Tygodnik Powszechny”, zamieszczając wiele ciekawych informacji z życia tej uczelni. Jednym z głównych kłopotów KUL-u jest brak pomieszczeń i dlatego „rozbudowa i modernizacja uniwersytetu staje się koniecznością życiową”. Niezależnie od rozbudowy samej uczelni, projektuje się budowę biblioteki na półtora miliona woluminów. Obecna biblioteka posiadająca 600,000 woluminów zlokalizowana jest poza uniwersyte-tem, w innym punkcie miasta i jest niewystarczająca.

Ogólny koszt budowy wyniesie 58,567,500 złotych. „Przy systemie gospodarczym wykonywania robót stosowanym przez KUL, koszt ten obniżyłby się o 30-40 procent i wyniosłby około 35 milionów złotych”.

„Obecnie przed Katolickim Uniwersytetem Lubelskim — kończy „Tygodnik Powszechny” — staje poważne i pilne zadanie mobilizacji środków finansowych i gromadzenie materiałów budowlanych oraz przygotowanie pełnej dokumentacji technicznej do tak ogromnego wysiłku, jakim jest rozbudowa”. Pismo informuje, że „wpłaty na KUL dokonywać należy na konto 2-9-153 PKO Lublin” i wyraża nadzieję, że w wysiłku rozbudowy KUL „uczestniczyć będzie cała społeczność katolicka w Polsce. Niewątpliwie, pomoże nam Polonia zagraniczna i społeczność katolicka innych krajów. Chodzi przecież o jedną katolicką wyższą uczelnię w Polsce, a także w krajach socjalizmu”.

Jak wiadomo Katolicki Uniwersytet Lubelski był od pierwszych lat swego istnienia i jest obecnie instytucją społeczną, prawnie jednak prywatną, nadającą stopnie naukowe uznawane przez państwo. Na uniwersytecie studiuje młodzież z różnych warstw społecznych, w tym najliczniejsza, bo stanowiąca 80 proc. uczy się młodzież rodzin chłopskich i robotniczych. KUL utrzymuje domy akademickie, wydaje codziennie posiłki po cenach bardzo niskich i udziela stypendiów. Ta akcja pomocy młodzieży pochłania ok. 1/4 budżetu uniwersyteckiego, który dochodzi do 13-14 milionów zł rocznie. Uniwersytet zatrudnia 221 pracowników nauki, którzy niezależnie od działalności dydaktycznej, prowadzą prace badawczo-naukowe. (FEP)

Galeria Grabowskiego
84, Sloane Avenue, S. W. 3

„TOMORROW'S ARTIST'S”

Wystawa prac studenckich
wybranych przez londyńskie
wyższe szkoły sztuk pięknych.
Otwarta codziennie od
10-tej do 6-tej. Wstęp wolny.

W Kraju optacają się najlepiej:

Sweterki Duke, dekolt „V”, bez rękaw.	8 szt. 48/-
Sweterki Duke, kołn. Polo, z rękaw.	6 szt. 50/-
Pasy elast. St. Michael, różn. nieb.	5 szt. 46/6
Pasta Kiwi, średn. pudełko, osiąg. 1.600 zł.	108 szt. 70/-
Sweterki Karlin, dekolt „V”, 2 kies., zapinany ...	5 szt. 58/-



CENTRALA
WYSYL
KOWA

HASKOBA

121, Earls Court Road., London, S. W. 5. Tel. FRE 7888.

WYDANIE TRZECIE KSIĄŻKI GENERAŁA W. ANDERSA
BEZ OSTATNIEGO ROZDZIAŁU
400 str. 56 ilustracji — przejrzane i poprawione — oprawa
w płótno — cena 35/- lub \$ 5.00

BORYS PASTERNAK

DOKTOR ŻIWAGO

W tłumaczeniu polskim PAWŁA HOSTOWCA
WIERSZE PASTERNAKA TŁUMACZYŁ JÓZEF ŁOBODOWSKI
Cena 25/-

„GRYF” — 169/171, Battersea Church Road, London, S. W. 11.
i wszystkie księgarnie polskie.

ANDRZEJ DZIERZYŃSKI

ETRUSKOWIE ZNANI I NIEZNANI

Towarzyszowi wspólnej wędrowki, Janowi Van De Watering poświęcam

CIEKAWYM, ale raczej smutnym faktem jest, że kultura Etrusków, będąca tematem zainteresowań od wielu lat, ma nieproporcjonalnie

mem bardzo zbliżonym do etruskiego. Pismo etruskie do dzisiaj pozostaje nie odczytaną zagadką. Dionizos z Halikarnasu pisał, że: „jest to język niepodobny do żadnego“. W chwili obecnej mamy ponad 9000 zabytków pisma etruskiego, które oparte jest jakoby na starogreckim alfabecie.



NECROPOLIS — GRÓB AUGURÓW
Dygnitarz ze służącymi

ubogą literaturę naukową. Właściwie na tory badawcze wyprowadzili ją uczeni szwedzcy z królem Gustawem na czele; w języku szwedzkim ma też najlepszą bibliografię. Z najnowszych prac dużą wartość posiada wydana w języku włoskim w r. 1947 w Mediolanie książka M. Pallotino pt. „Etruscologia“ i tegoż autora „La peinture etrusque“ wydana w Genewie w 1952.

Jadąc na paromiesięczny pobyt do Włoch postanowiłem zobaczyć i zwiedzić zabytki tej przastarej, wciąż nieco zagadkowej kultury. Przyszedł muszę, że do tego co miałem zobaczyć byłem nastawiony raczej negatywnie. Długie lata grabieży sztuki włoskiej, brak funduszy na konserwację, musiał przecież wyrazić się zniszczeniem i zatarciem śladów. I tu spotkały mnie miłe niespodzianki. Muzeum etruskie, mieszczące się w rzymskiej Villi Giulia, jest ostatnim cudem techniki eksponowania zabytków. Również zabezpieczenie większości stanowisk archeologicznych w terenie jest pięknym osiągnięciem włoskich naukowców z ostatnich lat. Jedynym może utrudnieniem w zapoznaniu się z tymi stanowiskami jest brak przewodnika archeologicznego po Włoszech, a wiadomości w przewodnikach popularnych są albo przestarzałe albo wręcz błędne. Jedynym „cicerone“ pozostaje literatura fachowa.

Przede wszystkim jednak warto choć w skrócie zapoznać się z historią Etrusków. Przybyli oni zapewne ok. XI wieku przed Chr. z Lydii w Azji Mniejszej. Twierdził to już Herodot, a o ich małoazjatyckim pochodzeniu świadczy podobieństwo w nazwach geograficznych, zwyczajach, wierzeniach. Niezbitym zaś dowodem jest tajemniczy kamień z Lemnos, z pis-

mem bardzo zbliżonym do etruskiego. Pismo etruskie do dzisiaj pozostaje nie odczytaną zagadką. Dionizos z Halikarnasu pisał, że: „jest to język niepodobny do żadnego“. W chwili obecnej mamy ponad 9000 zabytków pisma etruskiego, które oparte jest jakoby na starogreckim alfabecie.

Rzymian położyło kres istnieniu państwa Etrusków.

Wysoki poziom organizacyjny i gospodarczy konfederacji etruskiej miał swoje źródła w urodzeniach tego narodu. Do dziś wyroby z miedzi, brązu, czy złota zachwycają swoją piękną formą artystyczną. Jako ornamentykę tych wyrobów przyjęli Etruskowie postaci ludzi, zwierząt i tematy mitologiczne. Delikatnym rysunkiem dekorowali zwierciadła, puszki, lampy. Najpełniejszym zbiorem tych przedmiotów jest wspomniane powyżej muzeum w Villi Giulia w Rzymie. Nieduże rozmiarami brązy w tej galerii należą do najlepszych na świecie. Są to przeważnie figurki kultowe, które w swej zaskakującej formie zawierają całą syntezę postaci ludzkiej w wizji artysty. To samo muzeum posiada zresztą pyszną kolekcję waz czarno- i czerwono-figurkowych, importowanych z Grecji przez etruskich wielmożów. (Podobna kolekcja znajduje się w muzeum archeologicznym we Florencji). Parter Villi Giulia zajmują oryginalne rzeźby etruskie z terenów Veio, Vulci i Tarquinii na czele ze słynnym terrakotowym Apollo z Veio, którego układ szat ma wiele wspólnych cech ze sztuką mykeńską.

W sztuce etruskiej do V wieku dominowały elementy małoazjatyckie, później greckie. Nastąpiło to wskutek ożywienia kontaktów i handlu z koloniami greckimi. Osobnym rozdziałem tej sztuki jest malarstwo. Dążyło ono w dużym stopniu do realizmu. Możemy wyróżnić w nim dwa okresy: archaiczny między VI a IV wiekiem, i tzw. swobodny, pozostający pod wpływami malarstwa greckiego. O ile malowidła okresu pierwszego przedstawiają sceny z życia codziennego, polowań, uczt, igrzysk — to tematyka w wieku IV się zmienia. Malarstwo staje się ponure, pełne grozy, fantastycznych stworów, scen z obrazami mąk i tortur, żywo przypominające grecki Hades. W tematyce tej spotykamy się zresztą z Cyklopem, Persefoną, czy Achillesem.

Zachowane zabytki malarstwa etruskiego napotykać prawie wyłącznie w grobowcach ludzi zamożnych. Księgą historii tego malarstwa jest Tarquinia. Obecne miasto położone jest na końcu terenów nekropolii, które ciągną się kilometrami. Dekoracja malarska grobowców w Tarquinii pochodzi z okresu pomiędzy pierwszą połową VI wieku a II wiekiem przed Chr. Jest ona jednocześnie przekrojem wpływów na sztukę etruską (w VI wieku wpływy jońskie, w V attyckie). Prace wykopaliskowe rozpoczęły już w r. 1823 niszcząc przytem wiele cennych malowideł. Grobowce są przeważnie jednoizbowe z przedziemkiem, umieszczone głęboko pod ziemią. W górnej części ścian znajduje się fryz ze scenami, strop i pozostałe części ścian mają dekorację geometryczną.

W Tarquinii znajdujemy 4 podstawowe grupy grobowców. Do pierwszej należą groby tuż za murami miasta, na ich czele jest sławny grobowiec „Myśliwych i Rybaków“, z uroczą sceną polowania na kaczki z procami. Drugim w tej grupie jest tzw. „Grobowiec Leopardów“ ze scenami bankietowymi i wspaniałym rysunkiem tych zwierząt. Do drugiej dużej grupy należą grobowce leżące obok współczesnego cmentarza z interesującym tzw. „Grobowcem Kardynała“ z III wieku; jest to największy grobowiec w Tarquinii, strop jego podpierają dwa filary.

(Dokończenie na str. 11)

RODZAJ i zasięg wspomnień wojennych zależy także od szczebla, na którym ich autor wojnę przeżywał. Generalowie, sztabowcy, wyżsi dowódcy wiedzieli, co się działo na szerokich odcinkach kampanii, którą kierowali. Dysponowali mapami, szkicami, meldunkami, znali rozkład sił własnych i nieprzyjaciela, czyli wspomnienia ich stają się zarazem historią opisywanej kampanii.

Autor ze szczebla plutonu miał tak wąskie pole obserwacji i tak bardzo ograniczone źródła informacji, że wspomnienia jego są najwyżej dokumentem małego, jednego z bardzo wielu odcinków, które dopiero razem wzięte, złożą się na całość. Każdy fragment z osobna ma natomiast o tyle sens, o ile odtwarza opisywane wypadki, jak autor je autentycznie przeżywał. Wtedy wspomnienia takie będą głównie dokumentem wojennych przeżyć osobistych szeregowego żołnierza opisywanej kampanii czy bitwy.

W połowie sierpnia 1920 pułk nasz cofał się wraz z całą pierwszą dywizją jazdy, w której skład wchodził, od Radziechowa na południowy zachód w kierunku na Lwów. Nie był to odwrót bezczynny i spokojny, ani tym mniej kapitulacyjny. Pod Radziechowem i Niestanicami stoczyliśmy znowu zaciętą walkę z nacierającą armią konną Budiennego, z którą wojowaliśmy zresztą już od blisko trzech miesięcy, od dalekiej Ukrainy poprzez Wołyń, aż do terenów obecnych. Po ostatnich walkach cofnęliśmy się dalej, na rzekę Bug, pod Kamionkę Strumiłową.

Kiedy stanęliśmy nad Bugiem w uroczym, zacisznym miejscu, ogarnęła nas nadzieja, że za osłoną tej sporej rzeki zatrzymamy się dłużej. Chodziło nie tylko o przyczynę poważną i ogólną, o których rzadko myśli żołnierz niskiego szczebla, nie dlatego by były mu one obojętne, lecz z powodu przeciążenia codziennymi działaniami i kłopotami, wreszcie zmęczeniem. A przecież, od czasu dwutygodniowego odpoczynku pod Zamościem nie mieliśmy prawie wytchnienia. Akcje pod Beresteczkiem, Berlinem (oczywiście, tym koło Brodów), Stanisławczykiem, wreszcie Radziechowem i Niestanicami następowały jedna po drugiej. Postoje były krótkie i ruszaliśmy z nich zbyt często nadspodziewanie rychło i bez pożądanego, należytego wypoczynku.

Tym ponętniej przedstawiała się perspektywa dłuższego trzymania Bu-

TO BYŁO w czasie wojny domowej. Ateny walczyły ze Spartą. Młoda demokracja, oparta o swą potężną flotę, na jaką pozwalały skarby Związku, starała się zniweczyć arystokratyczny ustroj Peloponezu. Sukcesy były po stronie Ateńczyków, szczególnie od momentu, gdy wzięto do niewoli Spartiatów znajdujących się na wyspie Sphakteria. Odważono się nawet najechać sprzymierzoną ze Spartą Beocję. Doszło do nieudanej potyczki pod Delion. Ateńczycy musieli cofać się w pośpiechu. I wtedy, jak opowiada Alkibiades, można było na polu walki ujrzeć hoplitę ciężkozbrojnego, przemierzającego spokojnym krokiem równinę i zdążającego za cofającymi się współtowarzyszami. Wojownicy beoccy, uderzeni jego spokojną postawą, nie znajdując w nim śladu paniki, jaka ogarnęła wojsko ateńskie, nie kwapili się do walki z odchodzącym. Wojownikiem tym był Sokrates.

* * *

Po dziesięciu latach zarazy i oblężenia, zniszczona wojną republika ateńska zdobyła się na jeszcze jeden wysiłek. Wysłała nową, obsadzoną własnymi obywatelami flotę przeciw okrętom spartańskim. Doszło do zwycię-

Z. BORYNICZ

W BITWIE Z

gu. Pluton nasz obsadził piękny zalesiony zakręt jego zachodniego brzegu z rozległym widokiem na lasy i pola strony przeciwległej, skąd mógł nadejść nieprzyjaciel. Rozgościliśmy się wygodnie pod drzewami, między rzeką a drogą, przygotowując koło koni wspaniałe spanie, jak często tego pięknego lata pod gołym niebem, na derce z siodłem pod głową. Dobrze się zasypia, mając nad sobą korony drzew, przez które migotają gwiazdy.

Szczęśliwie doczekaliśmy w spokojnym ranku, który wstał słoneczny i wspaniały w tym lasu nad chłodnym, srebrzystym biegiem rzeki i zdołaliśmy nawet zjeść śniadanie. Oczywiście, nie z kotła, bo kiedy nie we wsi i w większym skupieniu liczebnym, jadał się zwykle własnym przemysłem. Ktoś znalazł drogę do pobliskich chałup i dostał mleka czy masła, ktoś wyciągnął konserwy albo inne zapasy z jucek. Myśliśmy się spokojnie i goliłi, jak na majówce. Wschodni brzeg, na którym mógł się pojawić nieprzyjaciel przedstawiał zaciszną sielankę sierpniowego dnia, tyle że ani w lesie ani na sąsiednich łąkach nie było widać ani człowieka.

Przed południem jednak sielanka się skończyła. Przyszedł rozkaz odmarzszu, siodłanie koni i zbiórka szwadronów pułku, który zaczął się ustawiać na pobliskiej szosie, jak zwykle, długą dwójkową kolumną, po obu jej bokach. Jak stwierdziliśmy melancholijnie, czoło pułku zwrócone było ku południowemu-zachodowi, co znaczyło dalszy odwrót w kierunku na Żółkiew i Lwów. Zrozumieliśmy, że linia Bugu została opuszczona bez walki na naszym odcinku, czyli że Budienny musiał się przedrzeć gdzie indziej (okazało się później, że pod Zadwórzem, gdzie zginął kwiat młodzieży oddziałów ochotniczych Lwowa) i maszerujemy, aby go gdzieś dopaść, zatrzymać i przepędzić.

Czy zatrzymamy? Zatrzymywaliśmy bolszewicką armię konną z Budiennym jako dowódcą i ze Stalinem — jak później się okazało — jako jej politrukami od Korsunia i Taraszczy na Ukrainie. Stoczyliśmy z nią kilkanaście bitew ze zmiennym szczęściem, zatrzymywaliśmy ją czasowo i osłabiali, ale nie zatrzymaliśmy jej ani nie rozbili. Co prawda, nie rozbił i on nas, a mimo odwrotu, który trwał już blisko trzy miesiące, nie było w puł-

MIECZYSLAW LURCZYŃSKI

WSKAZAN

skiej dla Ateńczyków walki pod Arginus. Aliści, zanim zdołano przystąpić do pogrzebu zabitych, rozpętała się burza ogromna i ciała zmarłych uniosły fale. Nieszczęście, w myśl wierzeń ateńskich, duże, gdyż zmarli niepogrzebani nie mogli znaleźć się w Hadesie. A był to przecież kwiat obywatelskiej młodzieży ateńskich rodów. Przeciwno wodzom zwycięskim podbechtane pospólstwo wystąpiło ze skargą o świętokradztwo. Los zdecydował, że przewodniczącym ludowego zebrania dnia tego był człowiek o dużej cywilnej odwadze. Sam jeden wytrzymywał sprzeciw zgromadzonych, zarzucał demagogów, ryk zgromadzonej młodzieży, nie chciał zgodzić się na ukaranie oskarżonych. Przegłoszany, nie ustąpił, jasno wypowiadając swą opinię. Człowiekiem tym był Sokrates.

* * *

I znowu przechodzą lata. Na prostych ulicach nowych, po perskich wojnach zbudowanych Aten, pod przyładowo wybraną hermą, rozprawia człowiek. A właściwie nie rozprawia.

B.D.I.C.

Z BUDIENNYM NA PRZEDPOLU LWOWA

kach rozprężenia, nastroju kłęski czy beznadziejności, ani skłonności do paniki. Przeciwnie — można powiedzieć — w miarę cofania się odporność dywizji kłępsła, wzrastała sprawność bojowa i bitwy nie pozostawiały wrażenia poniesionej kłęski, mimo że następował po nich dalszy odwrót. Tragicznie krwawo dla naszego pułku Stanisławczyk był wyjątkiem.

Pamiętam z tego okresu tylko jednego pesymistę, który patrzył czarno w przyszłość. Wykładał mi swoje poglądy w rozmowach, którym sprzyjały zwłaszcza nasze długie, dzienne albo nocne, kawaleryjskie marsze, kiedy strzemię przy strzemienu świetnie się rozmawiało. Lepiej niż na postojach, podczas których zajmowały nas, obok zajęć służbowych, głównie odpoczynek, jedzenie i sen. Wspomniany pesymista był ziemianinem-intelektualistą, skłonnym do ulegania nastrojom depresji, która zresztą nie wpływała w żadnym stopniu ujemnie na jego postawę dobrego żołnierza.

Widział już naszą nieuchronną kłęskę, przewidywał konieczność wycofania się wojsk na Węgry i bolszewików, którzy poprzez trupa Polski — zgodnie z programem Lenina — połączy się ze zrewolucjonizowanymi Niemcami. Pesymista był jednak odosobniony i jeśli liczył innych jeszcze wyznawców wśród tzw. inteligencji, to w każdym razie z innych ust tych czarnych myśli nie słyszałem. Ułani z rodzin niższego poziomu wykształcenia, ze wsi, czy z miast, nie zdradzali zachwiania moralnego ani beznadziejności. Wypełniali poprawnie swoje żołnierskie obowiązki, gotowi bronić kraju do końca przed bolszewickim najazdem. Jego niszczycielski, wrogi charakter nie był przez nikogo stawiany pod znakiem zapytania.

Tego dnia, po ustawieniu się kolumny na szosie ku Żółkwi, zsiadliśmy z koni i kazano popuścić popregi, co oznaczało dłuższy postój. Konie stały spokojnie, jak zwykle sennie i znużone, tylko w oganianiu się od much zdradzając energię. Ułani rozmawiali grupami, albo kładli się w przydrożnym rowie, aby odespać załęgłości. I wtedy zdarzył się wypadek jedynego tego rodzaju, podczas ówczesnej kampanii. Usłyszeliśmy nadlatujący samolot, który zbliżył się do gościńca, na którym stała nasza kolumna,

zniżył się i zaczął zrzucać ulotki. Było to niezwykle i dlatego, że pojawił się samolot, co się zdarzało wyjątkowo i z powodu ulotek, które — jak się okazało — informowały nas o ważnych zdarzeniach na froncie, co również prawie nigdy nie bywało i żadna propaganda do nas nie docierała.

Tym, wyjątkowym razem dotarła, ale skutek był — jak mi się wydało — wątpliwy. Ulotki zawiadamyły nas o wielkim zwycięstwie 15 sierpnia pod Warszawą. Był to z pewnością fakt radosny i krzepiący, ale dla tych, którzy wiedzieli o tak bliskim podejściu czerwonej armii pod naszą stolicę. Myślimy o tym nie wiedzieli i dlatego na mnie wiadomość wywarła wrażenie raczej przynębiające. Tym realniejsze wydawało mi się niebezpieczeństwo, w jakim znalazł się Lwów i tym trudniejsza sprawa jego obrony.

Po jakichś dwu godzinach tego popasania wzdłuż szosy ruszyliśmy na południowy zachód, czyli w kierunku Lwowa. Zbliżanie się do rodzimych, znanych dobrze okolic wywoływało uczucia mieszane. Z jednej strony cieszył widok tych stron i bliskość rodzinnego miasta, do którego może uda się wpaść i zobaczyć swoich. Z drugiej — przyjemnością patrzyliśmy na dostojne mury starej Żółki, piękne w promieniach zachodzącego słońca i korzystaliśmy z możliwości porobienia zakupów w miasteczku. Równocześnie jednak ogarniał niepokój, poczucie wojennego zagrożenia i niepowodzenia, które spod Kijowa zmusiło nas do tak dalekiego odwrotu. Lepiej by było w innych warunkach powrócić ku domowi, od którego w tej chwili tak mało kilometrów dzieliło. Do samego Lwowa nie dojechalibyśmy. Pułk nasz zakwaterował pod Kulikowem i tam w wiejskiej stodole podmiejskiej wypadł mi nocleg, o którym wiedzieliśmy, że poprzedza ważniejszą akcję. To dodawało, jak zwykle, pewnego nabożeństwa normalnym obrządkom postoju.

Następnego dnia pobudka była o świcie i przed wschodem słońca znaleźliśmy się już w polu, na zrzętych łanach wznoszącym się dość stromo w kierunku porannej zorzy. Zsiadliśmy na chwilę z koni, oparłem się o snopy żyta w stogu i wtedy niespodziewanie zobaczyłem na horyzoncie w promieniach wschodzącego słońca lwowski

Wysoki Zamek, kopiec Unii Lubelskiej pamiętny, niezapomniany i najbardziej chyba swoisty szczegół lwowskiego krajobrazu. Zrobiło się ciepło koło serca. Czy wiedzą, że jeteśmy tak blisko, czy zdają sobie sprawę z niebezpieczeństwa, czy gotują jeszcze jakąś obronę własną miasta?

Zarządzono „do wsiadania, na koń“, jak brzmiała komenda i nie było czasu na dalsze rozważania. Kolumną czwórkową, o ile pamiętam linią szwadronów, czyli formacją bojową posuwaliśmy się stępą okolicą falistą, ścierniskami wśród kopiec zebranego zboża. Nagle kiedy zjeżdżaliśmy w dół ku łąkom, położonym w dolinie i przesłoniętym jeszcze srebrzystą mgłą porannej rosy, zobaczyliśmy konną kolumnę idącą naprzeciw, która na nasz widok zatrzymała się. Odezwały się gdzieś strzały i spotkani jeźdźcy gdzieś w mgle zniknęli. Był to oddział przedniej straży bolszewickiej.

ZACZEŁA się bitwa, o której szerszym przebiegu na moim szczepku plutonu, jak zwykle, prawie nic nie wiedziałem; trochę mogłem się domyślać, jeśli był na to czas i wolna głowa. Przyspieszyliśmy tempo i kłusem wzięliśmy w lewo, pozostawiając na prawo w dole wieś, z której przed chwilą wysunął się i następnie w stronę której wycofał się napotkany oddział Budiennego. Rozwinęliśmy się szeroką ławą na wzgórzach, wzdłuż polnej drogi, frontem na pół. wschód. Przed nami teren, przeważnie zrzętych ściernisk, obniżał się i schodził w falistą dolinę, spadając poniżej naszego horyzontu widzenia. W lewo, w kierunku północno-wschodnim ciągnęły się wzniesienia polne i dalek załesione, co — sądziłem — stanowiło lewą flankę naszego zgrupowania.

Na koniach staliśmy wprawdzie dość długo i bezczynnie. Pułk nasz był prawdopodobnie w rezerwie, albo zajął odcinek, na który nie wypadła na razie bezpośrednia akcja. Strzelanina natomiast zaczęła się tymczasem na dobre; ze wszystkich stron słychać było karabiny maszynowe i także, rzadsze w tej kampanii działa. Pod dalekim ogniem byliśmy i my, niezbyt silnym i skutecznym, ale tym bardziej mu się biernie, co jest zawsze najprzykrejsze. Jest czas na rozmyśla-

zamian wziął to, co chciał — wyrok śmierci. Nie wypadło pod koniec życia przeczytać samemu sobie.

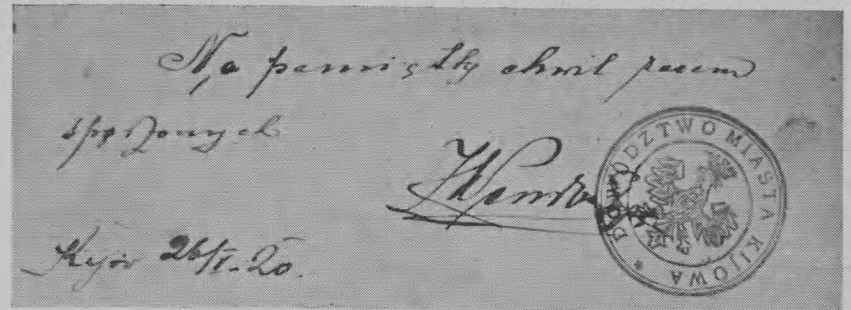
* * *

Scena ostatnia. Więzienna cela. Kilku towarzyszy namawiających go do ucieczki. Wiatr zleniwiał i spóźnia się okręt wracający ze świętej pielgrzymki na Krete. Dopiero po jego przybyciu wolno będzie zasądzonego zabić. Przygodnie mówi się o tym, czy słusze jest zawsze słuchać prawa. Sytuacja jest taka, iż samo państwo chętnie by widziało ucieczkę tego „złoczyńcy“. Ale on nie chce. Uczy obywateli swą śmiercią.

Nad horyzontem wznoszą czarne żagle okrętu. Już czas. Dozorca podaje kielich. Sokrates strząsa kroplę napoju na ofiarę bogom. Ani jeden muskuł nie drgnie na wyćwiczonej twarzy. Pijący czuje jak trucizna obezwładnia nogi. Kładzie się i przykrywa twarz brzegiem płaszcza. Już nie jest pewien siebie. Jeszcze spod zastawy rzuca ostatni dźwięk o złożeniu ofiary Asklepiosowi, jako że obyczajem było, iż przychodzący do zdrowia bogu temu koguta ofiarowywali. A potem — potem już milczenie.

nia i można rozważać, która kula człowieka trafi. Ułan na koniu czuje się wtedy bez żadnej osłony taki ogromny i bezbronny w czystym polu, zwłaszcza kiedy posuwa się ku niemu garba karabinu maszynowego, biegnąca z wawo po ściernisku albo oraninie kurzawa od serii padających kul. Wywołuje to wśród ostrzeliwanych i stojących bezczynnie lekkie dreszcze niepokoju, zwłaszcza w godzinach rannych, kiedy zmęczenie przytępiło jeszcze wrażliwości.

dać na koń i w zwartych szykach zjeżdżać w dolinę, bezpośrednio polem, albo przez wieś. Jeden z oficerów, świeżo przybyłych z posiłkami armii ochotniczej w ostatniej chwili przed poprowadzeniem swego oddziału zdołał mnie zapytać pośpiesznie, jakie ma wydać komendy. Chociaż znacznie młodszy, byłem dla niego weteranem kilkumiesięcznej wojny i z poczuciem wyższości spełniłem jego prośbę. Zaraz po tym ruszył i mój pluton. Przejechaliśmy przez wieś szybkim



Na ilustracji widzimy autentyczną pieczęć polskiej komendy miasta Kijowa z r. 1920. Widnieje ona w pamiętniku pika dypl. Z. Czarneckiego, obecnego komendanta Gł. „Brygadowego Koła Pogoń“. Otrzymał ją jako ówczesny podchorąży, który — znając miasto z okresu nauki w kijowskim gimnazjum — poprowadził pierwszy patrol swego oddziału do miasta.

Po pewnym czasie kazano nam zsiąść z koni i utworzyliśmy pieszą tyralierę wzdłuż linii wzgórz, zostawiając koniowody o kilkadziesiąt kroków w tyle, poniżej i jako tako osłonięte. Tymczasem, chociaż nie atakowaliśmy, ani nie byliśmy w bezpośredniej akcji i nie otworzyliśmy nawet samych ognia, zaczęły się pierwsze straty i to od dowódcy plutonu. Dostał kulę w udo, krwawił ciężko i opatrywano go właśnie w pobliżu naszego plutonu, we wklęsłości polnej drogi. Po chwili przywieziono jeszcze dalszych kilku rannych, których następnie sprawozdane podwoły zabrały z pola i odwozły.

Tymczasem mijały godziny, poranne i popołudniowe. Nad nami tylko bzykały kule, do których zdołaliśmy się przyzwyzczać, jak i do oczekiwania na własną, bezpośrednią akcję, lepszą zawsze pod ogniem od bierności. Wśród tego oczekiwania, przewanego dla mnie tylko jakimś rozkazem nawiązania łączności wzdłuż naszej linii, mogliśmy z naszego wzniesienia obserwować krajobraz bitwy. Toczyła się ona, jak rozumiałem, na przestrzeni między wsią na prawo od nas w dole (Artasowem), a miasteczkiem w kierunku wschodnim (Żółtańcami), widniejącym na lewo od nas, na dalekim planie. Głównym jej terenem były pola niżej położone przed linią wzgórz, na których staliśmy i które ciągnęły się w lewo od nas ku Żółtańcom. Stamtąd nas w godzinach rannych ostrzeliwano, stamtąd dochodził rechot karabinów maszynowych i ogień artylerii, co wszystko zdawało się przesuwac stopniowo na wschód.

Na lewo też w godzinach popołudniowych widziałem zjeżdżające z naszej linii wzgórz zwarte, bojowe szyki naszych pułków w dolinę, ciągnącą się ku Żółtańcom. W czerwieniąjącym już słońcu, na tle złocistych ściernisk odcinały się ciemnymi regularnymi kształtami, błyskającymi srebrzystą jakby łuską do szarży szabli i lanc, w których odbijały się promienie słoneczne. Widoczny był ruch tych oddziałów naszych ku przodowi i nie obserwowało się odwrotnego, co pozwalało wróżyć całej bitwie pomyślnie.

W końcu i na nas, tym razem wyjątkowo późno przyszła kolej akcji bezpośredniej i ofensywnej. Bitwa zdawała się wchodzić w fazę końcową. Po wielu godzinach nerwy obojętnieją i mnie osobiście ani się śniło, że przydarzy mi się coś jeszcze tego wieczoru. Teraz nasze szwadrony zaczęły wsia-

klusem, wśród chałup jakby zamarynych, z pozamykanymi szczelnie oknami i zawartymi ogrodzeniami. Za wsią rozwinęliśmy się i wzięliśmy kierunek na pół. wschód, na pasmo dalszych wzniesień, które mieliśmy osiągnąć. Jechaliśmy falistym terenem, zrzętymi polami dobrze wydeptanymi przez konne oddziały, już opuszczonymi. Dopiero po chwili napotkaliśmy coś szczególnie interesującego: w niewielkiej kotłince stał samochód pancerny. Przyspieszyliśmy tempo i otoczyliśmy maszynę. Stała dalej martwo i okazała się zupełnie opuszczona. Był to jeden z znanych nam z dawniejszych akcji, kilku samochodów pancernych Budiennego, które dały się szczególnie we znaki, podobnie jak bardzo liczne bolszewickie taczanki, czyli karabiny maszynowe na wózkach. Pod Czerwonohorodkiem na Ukrainie wylonił się taki samochód spoza konnej ławy Budiennego, podczas szarży, zadając straty, w tym raniąc śmiertelnie jednego z dowódców szwadronu naszego pułku.

Samochód stał teraz bezsilny, nieszkodliwy i opuszczony. Niemniej, należało zabezpieczyć cenną zdobycz, po którą bolszewicy mogli wrócić. Rozstawiłem pluton na wzgórzach, okalających kotlinę i objeżdżałem linię ułanów. Słońce dobrze się już czerwieniło i od rozsianych kopiec zboża kładły się długie cienie. Zdawało się, że jest zupełnie spokojnie i nie słyszano się nawet kul, a może po całym dniu strzelaniny ucho przestało je słyszeć. Zaczęłem zjeżdżać z powrotem w kotlinę, aby jeszcze raz przypatrzeć się „zdobytemu“ samochodowi.

I w tej chwili właśnie zdarzyła mi się przygoda. Zobaczyłem przed sobą, trochę na ukos obłoczek jednej, jedynej kuli na ściernisku i odczułem jakby ostre uderzenie batem po lewym ramieniu. Popatrzyłem na rozdarty rękaw i krwawienie, zdając sobie sprawę, że zostałem ranny. Wyglądało, jakby ktoś mierzył we mnie, ale raczej była to zabląkana kula, jedna z ostatnich w tej akcji, która i mnie na dobranoc znalazła. Rana nie okazała się ciężka i zaraz mi ją tymczasowo opatrzone. Samochodu już nikt nie odbijał. Budienny zatrzymany cofnął się i wziął kurs na północ na pomoc armiom, rozbitym pod Warszawą. Zanim mógł tam spóźniony dotrzeć, sam poniósł kłęskę pod Komarowem i skierował się ostatecznie na wschód.

Bitwa między Kulikowem a Żółtańcami, stoczona — o ile pamiętam 19 sierpnia — była jego najdalszym osiągnięciem i próbą zdobycia Lwowa, która została udaremniiona.

LANIA NIEAKTUALNE

Tylko sposobem „odziedziczonym po swej matce Fajnaracie-akuszerce“ wyściągając od przystuchujących się zdania ich i opinie. A że był to czas iż każdy żywo interesował się sprawami publicznymi, więc i o nich często była mowa, gdy mieściło się to w pasjonujących pojęciach, takich jak „zbożne“ i „niezbożne“, „dobre“ i „złe“, „piękne“ i „brzydkie“. Że demokracja ateńska uchwytała już wówczas nie tylko bobem ale i przekupstwem, nie jedno słowo krytyki padło pod adresem takiego czy innego Kleona. Radzono nad ulepszeniem formy rządu. Mówiono o sposobach wyboru ludzi mądrych i dobrych. Człowiekiem odważającym się na krytykę zaślepionej i małostkowej demokracji Ateńskiej był Sokrates.

* * *

Zwalony został rząd „Trzydziestu“ Panuje demokracja rozpętana. Piętno jej to sykofanci-donosiciele. Jeden z nich, patentowany demokrata Anytos, przekupiony, oskarża Sokratesa pozywając go przed sąd ludowy. Że to niby młodzież psuje i starych obczy-

jów nie przestrzega. I że bogów nie uznaje. Sokrates, bodaj już po sześćdziesiątce, staje przed sądem. Nie prowadzi ze sobą rodziny, którzyby płaczem i narzekaniem wzruszyli serca sędziów. Nie schlebia im. Jak to miał zwyczaj przez tyle lat, tłumaczy i argumentuje. Jest w nim wiele gorzkiej świadomości, że oto tych kilkuset Ateńczyków stanowiących sąd ludowy, nie ma pojęcia o przedmiocie sporu. Daje to odczuć. Oczywiście w głosowaniu zdobywa słowo „winien“.

Było obyczajem, że uznany winnym sam proponował wymiar kary. Cóż mógł zaproponować Sokrates? Przypuszczał, iż skończy się wygnaniem. Ale zbyt stary był już na włóczęgę. I zbyt kochał swe miasto-ojczyznę. Oburzony do żywego wyrokiem ocenającym w ten sposób jego trud wieloletni, dziesiątków lat nauczania proponował z gryzącą ironią jako karę... dożywotnie wyżywienie na koszt państwa, zaszczep przynajmniej tylko zwycięzcom olimpijskim. Wiedział, iż tym mieszczuchom musiały się bebczy od jego żartu powywracać. W

MARYA KASTERKA

Franciszek Black (1881 — 1959)

Jakże ciężko i trudno jest pisać o człowieku, którego się znało od wielu lat i dla którego miało się zachować się na zawsze nie tylko podziw, jako dla artysty, lecz i głęboki szacunek, jako dla człowieka wielkiej wartości moralnej, i serdeczną przyjaźń, jako dla przyjaciela, który umiał być przyjacielem w złej i dobrej doli.

A przecież jest to konieczne. Nie tylko ze względów, że tak powiem brutalnie, aktualności dziennikarskiej, lecz i dlatego, że tacy ludzie, jak Franciszek Black, należą do skarbu narodowego sztuki i myśli polskiej.

Dnia 14 lipca o świcie zmarł Franciszek Ksawery Black.

Choroba nurtowała go od dawna, lecz zarówno pielęgnująca go z oddaniem córka, panna Maya Black, jak i przyjaciele nie chcieli uwierzyć w grożące niebezpieczeństwo, luzdili się ciągle nadzieją, że silny organizm artysty, co już tyle zniósł w życiu, wytrzyma.

Urodził się w Warszawie dnia 3 grudnia 1881 roku. Matka jego, która bardzo kochała i często wspominała, była Polką, rodzina ojca pochodziła ze Szkocji. Istnieje portret-medalion matki, (rzeźba). Artysta odziedziczył po niej to bystre, przenikliwe spojrzenie bardzo czarnych oczu i piękne otwarte czoło. Po ojcu prawdopodobnie wzięła mocne rysy twarzy, w których był jakiś odcień cudzoziemski. Miał też przy charakterze bardzo polskim, tj. zycznym, zapalnym, bezinteresownym, odważnym i serdecznym, coś z uporu i wytrwałości oraz z marzycielstwa Szkotów.

Początki miał bardzo trudne, jak wielu artystów i literatów. Mając lat 18, pojechał do Anglii, gdzie uczył się i zarabiał jednocześnie na życie rzeźbą w drzewie. Zachował na zawsze zamiłowanie do tej sztuki średniowiecznej Wita Stwosza i tylu innych rzeźbiarzy i nie trudno zauważyć, że jakkolwiek Black jest na okół klasycyzmem, to jednak dzieła jego w drzewie mają odmienny charakter od dzieł w marmurze, czy w brzoźnie. Wieje od nich nie sztuką współczesną, czy Grecją, lecz mistycznym średniowieczem, co się modliło, tworząc.

Tak więc może przez atawizm ojcowi Black zaczął od Anglii i sztuki angielskiej. Lecz nie pozostał tam długo. Trzeba mu było kontynentu, szerszej atmosfery, szerszego oddechu. Więc już w 1903 r. widzimy go w Paryżu. I Paryż miał go potem zaczarować i przykuć na zawsze „usque ad mortem“.

W Paryżu kształcił się w sławnej Ecole des Beaux-Arts, gdzie był przez czas jakiś uczniem Antonin'a Mercie (1845—1916). Studiował z równym zapałem Greków, średniowiecze, Leonarda da Vinci, Michała Anioła, Carpeaux (1827—1875), Franciszka Rudé'a (1784—1855) i Rodina (1840—1917). Umiał też ocenić i Antoniego Bourdelle (1861—1929), natchnionego twórcę pomnika Mickiewicza w Paryżu, chociaż dalszym był od niego artystycznie. W epoce tej robił dużo małych płaskorzeźb, ogromnie wyrazistych, do których należy medalion jego matki. W 1908 wystawia po raz pierwszy w Salon National des Beaux-Arts.

A potem następuje okres pracy, a raczej współpracy z Antonim Wiwulskim przy pomniku Grunwaldzkim w Krakowie. Pod względem technicznym, a i artystycznym Black oddaje tu niepospolite usługi. Umie to zrozumieć i ocenić Paderewski i stąd pochodzi jego przyjaźń dla Blacka, którego zaprasza na dłuższy pobyt do siebie do Morges. Black zainstaluje się tam na dobre w 1911 r. i do Paryża powróci dopiero po pierwszej wojnie światowej.

Pobyt w Szwajcarii dał mu wiele. Miał życie materialne łatwiejsze, mógł poświęcić się sztuce i ustalić swój własny styl i swoją własną drogę. Miał tam wiele wystaw w Zurychu, w Genewie, w Lozannie etc. Zainteresowali się nim szwajcarscy amatorzy sztuki z dr. Louis Piquet na czele, a w pracowni jego przy rue du Simplon w Lozannie bywało wiele znakomitości, zwłaszcza muzyków, jak pianiści tej sławy, co Iturbi, Rossi lub śpiewaczka M-me Castellazzi, nie licząc naturalnie najslawniejszego z nich, Paderewskiego. Znał i mnóstwo wybitnych ludzi z rozmaitych sfer polskich, a zwłaszcza Henryka Sienkiewicza, którego maską pośmiertną i prześliczną rękę robił zaraz po śmierci autora „Quo Vadis“, i miał je w swoim „atelier“ paryskim. Na parę dni przed śmiercią pracował jeszcze nad pamiętną tablicą Sienkiewicza, mającą być umieszczoną w kościele w Vevey, gdzie przez lat kilka stała trumna wielkiego pisarza, zanim ją sprowadzono do Polski. Tablicę tę ufundował znany mecenas i filantrop polski, p. Zbigniew Poray-Lukaczyński, który pracując ciężko w Ameryce, każdy grosz zarobiony oddaje na cele kulturalne polskie w Europie.

Wtedy to Black stworzył w Szwajcarii kilka swoich arcydzieł, jak „L'Veil“ (Przebudzenie), cudna głowa młodej dziewczyny, po której przesuwają się jakiś mistyczny blask. Głowa ma typ czysto klasyczny, lecz wyraża coś z mistyki średniowiecznej. Zdarzają się takie połączenia u Blacka.

Również marmur, jego oryginalna i harmonijna, ale raczej pogańsko-klasyczna „Ewa“, trzymająca jeszcze jabłko w dłoni, ale już słuchająca z zajęciem podszeptów węża u jej stóp. Lecz po „Ewie“ robi czystą, uduchowioną „Madonnę“ przypominającą madonny średniowiecza i bizantyjskie. Mały Chrystus z rozłożonymi na krzyż rękami, opiera się o kolana Matki.

I w Szwajcarii i po powrocie do Paryża Black wykonał mnóstwo portretów. Są bardzo rozmaite: marmur, brzoź, drzewo, lecz wszystkie odznaczają się wielkim podobieństwem. Black umiał pochwylić u każdego modela jego cechę charakterystyczną i oświetlić ją portret. Wymieńmy z najwybitniejszych, biusty: Paderewskiego (znajduje się w Konserwatorium Muzycznym Paryskim), Sienkiewicza, Włodzimierza Terlikowskiego, znanego malarza, Louis Marin, polityka francuskiego i przyjaciela Polaków, Władysława Mickiewicza, gen. Sikorskiego, marsz. Piłsudskiego, gen. Żeligowskiego, prof. Gustawa Przychockiego, dwóch profesorów rumuńskich: słynnego historyka Mikołaja Jorgi i znanego uczonego, Piotra Sergescu.

Prócz tego Black jest autorem kilku pomników, oraz makiet tych i innych pomników. Jednym z najbardziej znanych jest — zniszczony przez Niemców — w Warszawie Pomnik Pułownika Edwarda House. Jest też ich parę na słynnym cmentarzu paryskim Père-Lachaise.

WSZELKIE LEKI I MATERIAŁY DENTYSTYCZNE wysyła do Polski, innych krajów i poza linię Curzona
Mgr. L. Oliwa
APTEKA LTD.
THE BROMPTON PHARMACY
68, Fulham Rd., South Kensington
London, S.W. 3. Tel.: KEN 7410
Wszystkie zlecenia wykonujemy natychmiast. Ceny Ekspresowe. Apteka czynna do 8-mej wieczorem codziennie. W czwartki do 1-szej.

PRZEGLĄD SPORTOWY

Kopaszewski porzucił madrycki Real

WIELOKROTNIENIE powtarzana wiadomość o powrocie Kopaszewskiego do Francji znalazła wreszcie potwierdzenie w oficjalnym komunikacie i znany piłkarz już w przyszłym sezonie wystąpi znowu w barwach swego macierzystego klubu Reims. Dokładnie trzy lata temu sławny klub hiszpański, Real Madrid, zaangażował Polaka, płacąc klubowi z Reims zawrotną sumę odstępnego w wysokości 80 milionów franków, co wówczas odpowiadało 80.000 funtom. Kopaszewski od dawna zamierzał przenieść się z powrotem do Francji ze względów rodzinnych i z uwagi na interesy handlowe, ale kontrakt wiążący go z Realem był tu wielką przeszkodą. Klub hiszpański zażądał za zwolnienie przed terminem 25 milionów franków odszkodowania i trzeba było znaleźć klub francuski, któryby taką sumę wyłożył. W międzyczasie

Na łamach krajowych „Problemów“ ukazał się „list do redakcji“ (przedrukowany następnie przez warszawski „Przeгляд Sportowy“) na temat skandalicznego sędziowania sędziów polskich na meczu tenisowym o puchar Davisa między Polską i Brazylią (wygrała Brazylija 3:2). Autor listu, inż. K. Partyka z KS Polonia Warszawa, pisze m. in.:

„Piszę a propos wydarzeń na korcie centralnym Legii w Warszawie, w niedzielę 17 maja... Fernandez, mimo rozważenia stronnictw sędziowania i to w ważnych momentach meczu, starał się nie reagować na to, zachowując się nader kulturalnie. W końcu jednak nie wytrzymał nerwowo i wybuchnął płaczem. Nie dość na tym, zrezygnował z odbicia piłki tracąc ją na korzyść Skoneckiego, bo uważał, że poprzednia piłka była omyłkowo jemu przysadzona.

Mnie, jak również moich znajomych ogarnął wstyd, jakiego już dawno nie przeżywałem. Wstyd, za kontrast między inauguracyjnym powitaniem, a późniejszą rzeczywistością, wstyd za brak sportowego wyrobienia i uczciwości u niektórych sędziów, wstyd za publiczność, rzekomo sportową i poniekąd elitarną, która swoim zachowaniem stworzyła klimat dla takich właśnie wyczynów sędziowskich.

Może ktoś powiedzieć, że omyłki się zdarzają i że uderzały one również w Skoneckiego i Licisa. Zgoda, omyłki się zdarzają, jednak ilość piłek straconych przez Brazylijczyków i to najczęściej w sytuacjach szczególnie ważnych, w skutek „omyłek“ sędziowskich, była niewspółmiernie większa, niż u Polaków... Jest publiczną tajemnicą „nawalania“ piłek przez liniowych — nie pierwszy raz zdarzyło się to 17 maja, nie miało jednak dotychczas obrazu tak drastycznego... Ten skromny chłopiec brazylijski, podobno z zawodu sprzedawca sklepowy, odniósł wielkie moralne zwycięstwo i dał w sposób kulturalny jakże gorzką lekcję prawdziwej etyki i postawy sportowej, która niestety, coraz więcej pozostawia do życzenia...“

W międzynarodowym turnieju pięciarskim w Wiedniu z udziałem 36 zawodników z 9 krajów Polacy odnieśli następujące sukcesy: *Kulesza* (kogucia) pokonał Mitrovica (Jugosławia), *Bocarski* w piórkowej pokonał mistrza olimpijskiego Safronowa (ZSRR), w lekkośrodkowej *Kulej* pokonał Micewa (Bułgaria), w lekkośredniej *Bartosiewicz* przegrał z *Buechenschusem* (NRD) na punkty. *Gugniowicz* pokonał *Nemeca* (CSR), *Olech* (musza) przegrał z *Rumunem Puiu*, *Kulesza* pokonał *Petrine* (CSR), *Bocarski* wyprzedził *Schultze* (NRD), *Kulej* przegrał z *Jengibarianem* (ZSRR), mimo że Rosjanin znalazł się na deskach, *Kliś* (półciężka) pokonał *Szkota Barkera*, a w ciężkiej *Gugniowicz* zajął pierwsze miejsce, gdyż *Abramow* (ZSRR) nie stanął do walki z powodu kontuzji odniesionej w poprzedniej walce.

Amerikanin *O'Brien* ustanowił nowy rekord świata w rzucie kulą na 19,30 m. Na międzynarodowych zawodach lekkoatlet. w Sztokholmie Polacy zwyciężyli w biegu na 400 m — *Swatowski* 47,8 sek. Na 1.500 m — *Lewandowski* 3,43,0 min. Drugie miejsce zajął *Jochman* (Polska). Skok w dal: 1. *Grabowski* 7,65 m, 2. *Kropidowski* (także Polska).

Hiszpański Związek Związków Sportowych postanowił, że jedynie ci piłkarze, którzy od 3 lat nie występowali w drużynach zagranicznych mogą być zaangażowani do klubów hiszpańskich. Uchwała obowiązuje od 1 sierpnia br. i praktycz-

nie piłkarzem zainteresowały się inne kluby, jak belgijski *Anderlecht* i sytuacja *Kopaszewskiego* zaczęła się coraz bardziej komplikować. Stosunki między Polakiem a Realem pogorszyły się i praktycznie nie było już dla niego możliwości powrotu do Madrytu.

Z francuskich klubów najbardziej ubiegał się o pozyskanie piłkarza dawny jego klub Reims, ale warunki Hiszpanów musiały być wygórowane, bo pertraktacje toczyły się bardzo długo i dopiero po zwyciężeniu pertraktacji zakończono je pomyślnie dla obu stron. Wiadomość o powrocie *Kopaszewskiego* wywołała w francuskich kołach sportowych wielką radość, bo sympatyczny piłkarz miał tu zawsze wielu przyjaciół a jego popularność wzrosła jeszcze bardziej po zeszlonożnych mistrzostwach świata w Szwecji, na których odegrał tak wspaniałą rolę. (j.g.)

nie zamyka drogę na „importowanie“ gwiazd z zagranicy, zwłaszcza z Ameryki Południowej.

W Warszawie odbył się walny zjazd Polskiego Związku Bokserskiego. Obradom przewodniczył mgr *Kocouń* z Bydgoszczy. Zjazd miał spokojny przebieg. Preliminarz budżetowy PZB na rok 1960 zamyka się sumą 7.416.000 zł. Nowy zarząd PZB nie uległ poważniejszym zmianom. Prezesem został ponownie *R. Lisowski*, wiceprezes organizacyjny — *H. Mrozowski*, wiceprezes sportowy *T. Pasturczak*, dla spraw sędziowskich — *A. Cwikliński*, sekretarz generalny *S. Czuperski*, przewodniczący wydziału szkoleniowego i kapitan PZB — *S. Cendrowski*.

Polski Związek Piłki Nożnej postanowił opracować i wydać drukiem „Historię Piłkarstwa Polskiego“. Powołany został specjalny komitet redakcyjny w składzie: *dr J. Lustgarten*, *dr S. Mielech*, inż. *F. Kmicinski*, red. *M. Szymkowiak* i *G. Aleksandrowicz*. Komitet wzywa osoby posiadające jakiegokolwiek dokumenty z dziejów polskiego piłkarstwa (notatki, zdjęcia) o ich wypożyczenie na adres: PZPN, Warszawa, Al. Ujazdowskie 22.

Do Warszawy przybył na wakacje *Jan Tešiorowski*, przedwojenny reprezentant Polski w sprintach, obecnie mieszkający na stałe w Montrealu w Kanadzie. *Tešiorowski* liczy obecnie 45 lat. Na pytanie red. *Z. Głuszka* z warszawskiego „Przeгляд Sportowego“: „Gdzie pan wieje mieszka i jak się panu układa życie?“ — *Tešiorowski* odpowiedział:

„Mieszkałam w Montrealu jako profesor-wykładowca Uniwersytetu w Sherbrooke. W Kanadzie nie jestem zresztą zbyt osamotniony. Ten sam kraj, co ja, wybrał także *Kuźmicki*, który jest pracownikiem firmy produkującej maszyny elektroniczne... Z *Kazikiem* jestem w stałych kontaktach towarzyskich i często wspominamy stare czasy. Paczkę naszą uzupełniają jeszcze *Szapsio Rothole* (słynny przed wojną pięściarz warszawski), *narciarz Jan Marusarz*, jeździec *Gutowski*...“

Do siedziby klubu sportowego „Lech“ w Poznaniu dokonano włamania, które prasa krajowa przedstawia jak następuje:

„Kierowca taksówki jadącej... ulicą Dworcową zauważył wydobywający się dym z sekretariatu klubu „Lech“. Zalarmowana straż pożarna wkrótce ugasiła ogień. Jak się okazało pożar spowodowany został przez grupę nieznaną włamywaczy, którzy uderzyli się do sekretariatu „Lecha“, rozbili szafę i zdemolowali urządzenie. Napastnicy nie oszczędzili nawet pamiątkowego pucharu z ortem, zdobytego przez koszykarzy „Lecha“ oraz ukradli pamiątkowy zegar przywieziony przez piłkarzy z ZSRR. Po zdemolowaniu lokalu wciągnęli na maszt znajdujący się przed budynkiem czarną flagę i zbiegli.

CZY WIESZ, ZE

...mistrzem świata we florecie został Anglik, Jay. Mistrzostwa rozgrywano w Budapeszcie,

...trzy nowe rekordy świata ustanowiły pływaczki amerykańskie: na 110 m motylkiem 15-letnia *Becky Collins* 1:11,2 min., *Carin Cone* 2:20 y na wznak 2:37,9 min., *Sylvia Ruuska* 4:40 y poprawiła własny rekord na 5:40,2 min.,

...*Jadwiga Jędrzejowska* zdobyła w tym roku po raz 22 tytuł mistrzyni Polski w tenisie, bijąc bez trudu w finale *Szmidtownę* 6:0, 6:3. Nadto zdobyła tytuł mistrzowski w grze podwójnej ze *Zmianką* bijąc *Dowborównę* i *Szmidtownę* 6:3, 7:5. Publiczność odśpiewała na cześć *Jędrzejowskiej* „Sto lat“.

...na 30 szpad przedstawionych przez Polaków na mistrzostwach świata w Budapeszcie komisja odrzuciła aż 21, gdyż nie odpowiadały przepisom.

...nie odpowiadały również regulaminowi kamizelki szermiercze, a rękawice „farbowały na potęgę“. Dopisali tylko zawodnicy, kiedyż dopisze sprzęt?

...zespół polski wyjechał na wycięgi kolarskie do Austrii w osłabionym składzie — bez Pruskiego, któremu Związek Kolarski nie zdołał zapewnić paszportu we właściwym terminie.

...Z tych samych powodów wysłano tylko 3 zawodników na wycięgi kolarskie do Jugosławii, a w dodatku — jak podaje „Trybuna Ludu“ — z powodu niedopatrzenia nie mieli oni na pierwszych etapach swoich rowerów (wysłano je z Polski inną trasą) i jeden z nich musiał zrezygnować z jazdy. Nieśmiertelny bałagan biurokratyczny trwa!

...natomiast na wycięgi kolarskie w NRD wyjechało na 4 zawodników aż pięć „osób towarzyszących“, które potrafiły sobie „sprawnie“ zorganizować wyjazd. Że kolarze nie wyjadą... to nie jest ważne. Byleby mogli wyjechać płatni funkcjonariusze sportowi.

ECHA FINAŁÓW PIŁKARSKICH W W. BRYTANII

Bezpośrednio po finałach piłkarskich w Cannock, w których — przypominamy — zwyciężył *KS Sokół* z *Nottingham* (wobec remisowego wyniku meczu decydowały 3 karne, w których więcej szczęścia miał *Sokół*) — odbyła się w Domu Inwalidów w Birmingham doskonalenie przygotowana wspólna kolacja, w której wzięło udział ponad 200 osób. Sprawozdawcą nasz odbył między jednym a drugim danem dwie błyskawiczne rozmowy z przedstawicielami *Sokoła* i wicemistrza — *Pogoni* z Birmingham.

Referent sportowy *Sokoła* *Z. Kopyś*: „Jesteśmy dumni z naszej drużyny. W imieniu Zarządu Klubu i społeczności polskiej z Nottingham składam całej drużynie serdeczne podziękowanie. Wynik spotkania nie był pewny do samego końca, co — oczywiście — znacznie zwiększało atrakcję finału, a jeszcze bardziej podniecało kibiców obydwóch drużyn. *I Sokół* i *Pogoń* walczyły uparcie do samego końca. Jestem naprawdę dumny ze swej drużyny! Każdy gracz wywiązał się w pełni ze swego zadania. Najlepszym graczem był *W. Wawrzynowicz* na bramce i obrońca *J. Arciszewski*. Z graczy angielskich najlepszy był *B. Cunningham*. Jesteśmy także zadowolony z organizacji finałów. Gospodarz stadionu, *KS Pogon*, wywiązała się z zadania bez zarzutu. Zrobiła wszystko, co należało. Było mi bardzo miło, gdy przedstawiciele *Pogoni* gratulowali nam zwycięstwa. W sumie wygrała lepsza drużyna — nie bez odrobiny szczęścia. A ten tu szczęścia to wielki atut w każdej konkurencji sportowej.“

Dodajmy, że p. *Kopyś* należy do *Sokoła* od 1950 r., pełniąc funkcję referenta sportowego. Rozumiemy dobrze jego radość.

Drugą rozmowę przeprowadziłem z p. *F. Kolczakiem*, sekretarzem *Pogoni* z Birmingham, wicemistrzem finałów.

„Ostateczny wynik meczu jest sprawiedliwy. *Pogoń* zawodła. A byliśmy pewni zwycięstwa, gdyż drużyna była dobra. Grała jednak poniżej swych możliwości. Trzeci jedenastkę przestrelał *B. Wood*. A szkoda, zwłaszcza, że nie chciał jej egzekwować. Ważne jednak jest, że na meczu panowała przyjemna atmosfera. Jak się jeszcze raz okazuje, ostateczny wynik jest także kwestią szczęścia. Zrobiliśmy jednak wszystko, cośmy mogli. Szkoda tylko, że frekwencja była słabsza niż w ub. roku. Być może, że to wina pogody, było bowiem zbyt ładnie i wiele osób wolało jechać nad morze niż na polskie finały.“

Za popularyzowanie sportu polskiego na emigracji Związek Polskich Klubów Sportowych w Londynie przyznał Odznak Honorowe następującym osobom:

J. Bator, *T. Bielecki*, *A. Budzichowski*, *J. Ciesielski*, *S. Czaczka*, *R. Dawid*, *P. Duraj*, *A. Fux*, *S. Gerula*, *A. Z. Gordon*, *B. Habowski*, *J. Janowicz*, *P. Kawulok*, *Z. Klepacki*, *Z. Kopyś*, *H. Kornas*, *E. Kpmorek*, *R. Kowaczek*, *L. Kusztelan*, *B. Lesiecki*, *W. Lesz*, *F. Łuksza*, *W. Maciejczyk*, *J. Madej*, *K. Małecki*, *plk. Cz. Mierzejewski*, *H. Mikrut*, *S. Minikowski*, *J. Najsarek*, *J. Nowiak*, *A. Osmenda*, *W. Pal*, *B. Pardon*, *ks. J. Piątkowski*, *M. Piechocki*, *A. Pietrzak*, *J. Pipka*, *Z. Pniowski*, *K. Schmidt*, *T. Skokowski*, *J. Siwiak*, *S. Soboniewski*, *Z. Szadkowski*, *L. Szczurek*, *T. Szczurek*, *C. Sychała*, *F. Starościk*, *K. Stein*, *Irena Szwaglis*, *J. Szwajnoch*, *J. Szczęśny*, *J. Terpiłowski*, *I. Tłoczyński*, *B. Woytulowicz*, *F. Zychowicz*.

Odznaki wręczył gen. *K. Głabisz* w czasie finałów piłkarskich.

(p. h.)



Z życia Kombatantów

DODATEK ZARZĄDU GŁÓWNEGO S. P. K.

ŚWIĘTO ŻOŁNIERZA

W KALENDARZU polskich rocznic narodowych dzień 15 sierpnia zajmuje miejsce szczególne jako pamiątka wspaniałego zwycięstwa nad najazdem bolszewickim w roku 1920.

Niestety, w dzisiejszej rzeczywistości Polski, okupowanej przez Sowietów, a rządzonej przez posłusznego Moskwie reżym warszawski, święto to zostało wykreślone z kalendarza. Nikt nie zdoła jednak wykreślić tej daty z myśli i serc Polaków. Naród polski z pewnością podaży w tym dniu do kościołów, by uczcić „Cud nad Wisłą” i przywołać na pamięć dramatyczne, a zarazem piękne dni sierpniowe, będące dumą każdego Polaka.

My, byli żołnierze na uchodźstwie, rozsiadani po wszystkich wolnych krajach świata, mający możliwość dać głośno wyraz prawdzie historycznej, obchodzimy wraz z całą emigracją tę wspaniałą rocznicę. W dniu tym, będącym Świętem Żołnierza polskiego na obczyźnie, Stowarzyszenie Polaków Kombatantów odbywa swój zjazd światowy z udziałem delegatów wszystkich ogniw organizacyjnych w świecie. Złączeni jednym sercem i jedną ideą, przenosimy się myślami do Warszawy i na pola Radzimina, by wspólnie z Wami, Kochani Rodacy, przeżywać wiekopomne zwycięstwo oręża polskiego.

Dzień 15 sierpnia 1920 roku był — po 150 latach niewoli — ukoronowaniem zmagani narodu, zabezpieczającym swe prawa do wolnego bytu. Wkrzeszona w listopadzie roku 1918 Rzeczpospolita Polska musiała w pierwszym rządzie przystąpić do budowy państwa, rozdartego zaborami i kompletnie zrujnowanego gospodarczo. Zadanie to Polska podjęła z rozmachem, tworząc szybko jeden organizm państwowy w oparciu o zasady wolności i dobrze pojętej demokracji.

Na barki młodego państwa polskiego spadło ponadto ogromne zadanie zabezpieczenia swych granic przed ewentualną agresją sąsiadów. Kiedy po zwycięskim powstaniu wielkopolskim granice zachodnie nie nastęrczały większych niepokojów, na wschodzie sytuacja Polski pozostała płynna. W ślad za wojskami niemieckimi, wycofującymi się z północno-wschodnich ziem polskich, posuwały się oddziały armii czerwonej, okupujące ziemie białoruskie i litewskie. Ustanawiając fikcyjne republiki tych narodów, administrowane przez oddanych sobie

ludzi i przez terror, armia czerwona zajmowała coraz dalsze tereny, kierując się na zachód. Stawało się jasnym, że Rosja — zgodnie z założeniami Lenina o rewolucji światowej — zdążyła do zagarnięcia całej Polski i przedostania się na teren Niemiec, gdzie w wyniku przegranej wojny notowano już silne ruchy komunistyczne. Oczywiście było sprawą, że zdobycie Polski i przekształcenie jej w jedną z sowieckich republik stanowiło etap rewolucji międzynarodowej i objęcia nią całej Europy zachodniej.

Młode, nieskonsolidowane państwo polskie wystawione było na ciężką próbę, zwłaszcza, że państwa zachodnie zdawały się nie widzieć ogromnego niebezpieczeństwa, ograniczając się do wytyczenia linii demarkacyjnej polsko-rosyjskiej umniejszającej polski stan posiadania na wschodzie, odkładając zaś wyznaczenie stałej granicy na okres późniejszy. Uchwała ta przez żadną ze stron z różnych przyczyn nie była respektowana.

Zajęcie przez bolszewików Wileńszczyzny i Białorusi i zdążanie do linii Bugu groziło nie tylko oderwaniem tych ziem od Polski, ale zapowiadało dalszy pochód w jej głąb.

Naczelnik Państwa a zarazem Naczelnym Wódz, Józef Piłsudski, postanawia zlikwidować groźące niebezpieczeństwo przez akcję zaczepną najpierw na Wileńszczyźnie, a następnie na ziemiach południowo-wschodnich. Chociaż akcje te uwiecznione były powodzeniem, Rzeczpospolita Polska nie znalazła spokoju, gdyż cele bolszewickie pozostały bez zmian. Po zlikwidowaniu akcji gen. Denikina i wzmocnieniu się, armia czerwona ruszyła całą swą siłą na Polskę: na południu pod wodzą Budiennego, na północy zaś pod wodzą Tuchaczewskiego. Siły tego impetu nie wytrzymały słabo wyposażone i zmęczone oddziały polskie. Następuje odwrót a wszystkie próby zatrzymania nieprzyjaciela zawodziły.

Nastąpiła dla Polski groźna i decydująca chwila dziejowa. Armie sowieckie z siłą parły na Warszawę, a Polska nie mogła liczyć na żadną materialną pomoc z zagranicy, czy też na sukces akcji dyplomatycznej. W tych na pozór beznadziejnych dniach nie zalał się społeczeństwo polskie i nie uległy panice polskie władze. Cały naród stanął na apel, reprezentując jedną myśl i jedną wolę. Skupiony przy rządzie jedności narodowej z Witosem i Daszyńskim na czele i przy Naczelnym

Wodzu, Józefie Piłsudskim, — naród wydobyl z siebie entuzjazm i ogromny wysilek. Temu wysilkowi, harmonii i jedności działania wszystkich — dużych i małych — Bóg pobłogosławił i dał zwycięstwo.

Kiedy armie gen. Sikorskiego i gen. Hallera skutecznie walczyły z naporem nieprzyjaciela, Naczelnym Wódz uderzył na boki i tyły wroga grupą manewrową znad Wieprza. Uderzenie było tak silne i błyskawiczne, że wojska sowieckie znalazły się w potrzasku, zaczęły się wycofywać w popłochu, pozostawiając na polu walki masy zabitych i rannych oraz ogromne ilości sprzętu wojennego.

Bitwa o Warszawę została wygrana, a wojna z bolszewikami, po dalszych zwycięstwach nad Niemnem — zakończyła się rozejmem, podyktowanym przez polskie Naczelnego Dowódcę. 21 marca 1921 roku podpisano układ pokojowy w Rydze.

Bitwa warszawska zadecydowała na blisko lat dwadzieścia o losach Polski i całej Europy. Nic też dziwnego, że otrzymała miano „18 decydującej bitwy świata”.

Bohaterem tej bitwy był żołnierz polski. Dla jego też uczczenia Sejm Rzeczpospolitej proklamował dzień 15 sierpnia Dniem Święta Żołnierza.

Dla społeczności polskiej w wolnym świecie, mającej w swych szeregach tylu żołnierzy, sierpniowe święto, to nie tylko wspomnienie historyczne, ale także źródło ufności i otuchy, iż ta sama złowroga siła, która w roku 1920 odepchnięta została od murów Warszawy, choć obecnie trzyma w jarzmie Polskę i inne kraje środkowej i wschodniej Europy, rozbije się o potęgę wolnego świata.

Niestety, Zachód nie wyciągnął z bitwy warszawskiej właściwych wniosków i w układach w Teheranie i Jałcie u schyłku drugiej wojny światowej dopuścił do usadowienia się w Polsce i w centrum Europy zaborczego, bezbożnego komunizmu, który dziś zagraża całej cywilizacji chrześcijańskiej. Rozumieją to dziś już w pełni wolne narody i dlatego jesteśmy świadkami śmiertelnego zmagania się dwóch światów: Wschodu i Zachodu.

Nie ulega wątpliwości, że mimo bólu i licznych zawodów, miejsce Polski — zgodnie z jej tysiącletnią tradycją — jest i pozostanie po stronie zachodniej.

Stefan Soboniewski

DOM ORŁA BIAŁEGO W AUSTRALII

Ktokolwiek będziesz w australijskiej stronie, do stołecznego grodu Canberra wjechawszy, pomnij zatrzymać swój samochód, by się przypatrzeć Domowi Kombatanta.

Dostrzeżesz od razu, że dom ten powstaje z niezwyklego materiału: z cegieł i woli, z żelaza i zapachu, z cementu i ofiarności. W tej chwili jest on jeszcze w pieluszkach, lecz rośnie jak na drożdżach i za kilka miesięcy zmęźnie do tego stopnia, że będzie mógł rozpocząć dojrzalą egzystencję.

To, co zamierzam powiedzieć, nie jest historią domu, bo jej jeszcze nie ma, a tylko wstępem do niej. Przedświowie moje chce zaprowadzić czytelnika w pobliże centrum Canberry w dzień sobotni lub niedzielny... Ale zacznijmy od początku.

Koledzy z Koła SPK No. 5 nie wierzyli nigdy w rzeczy niemożliwe. Kiedy więc zaczęły pojawiać wśród nich marzenia o własnym budynku Stowarzyszenia, uznali, że szaleństwo to można i trzeba urzeczywistnić. Nastąpiła wymiana korespondencji z Zarządem Głównym SPK, który — jak się zdaje — ma słabość do szaleńców, skoro zdobył się na wniosek przyznania £ 5000 na ten cel.

Pierwszy krok został zrobiony, ale też zaczęły się piętrowe pierwsze poważne trudności. Nadesłane ostatnio sprawozdanie mówi: „Tak koło No. 5 jak i społeczeństwo w Canberra zdawały sobie sprawę, że za tę sumę nie postawi się domu, który by odpowiadał potrzebom życia zbiorowego. Nadto dom ten, aby mógł służyć wszystkim Polakom, mieszkającym w Canberra i okolicy, musiał stanąć w środku miasta. Otrzymanie zezwolenia pod budowę takiego obiektu uzależnione było przez tutejsze władze, od wielkości budynku, jego wyglądu oraz materiału budowlanego”.

Ojcowie miasta powiedzieli naszym kolegom, że mogą marzyć o uzyskaniu parceli w dzielnicy pryncypalnej, jeśli kosztorys domu nie będzie mniejszy niż £ 13.000.

Tak więc od samego początku Dom Białego Orła został... skazany na wielkość. W tym duchu zaczęto organizować zebrania-wiece, których praktycznym celem było przekonanie społeczeństwa polskiego, że musi zdobyć się na ofiarę o najmniej tak dużą jak posiadane już fundusze w kwocie £ 6.250. Obliczanie komitetu organizacyjnego głośniło: Jeśli dwie trzecie Polaków, pracujących w

Canberra (na tę jedną trzecią w Canberze jak i w innych ośrodkach polskich nigdy liczyć nie można) zadeklaruje wpłacenie na cel budowy domu w ciągu jednego roku w gotówce bądź w robociznie £ 25, dom stanie taki, jaki jest nam potrzebny.

W lutym 1958 r. uzyskano parcelę, a w dwa miesiące później Ks. Arcybiskup Gawlina dokonał poświęcenia kamienia węgielnego. Wykonania planu domu podjął się bezinteresownie inż. arch. T. Andrzejczyk, a przygotowanie specyfikacji powierzono architektowi T. Bishoffowi.

W tym samym czasie delegaci komitetu „składali wizyty” Polakom, nakłaniając ich do świadczeń na rzecz domu w gotówce lub w robociznie. W akcji tej wyróżnił się szczególnie kol. M. Petelczyc, który zebrał 104 deklaracje 25-funtowe.

Sprawozdanie Zarządu Oddziału SPK w Australii stwierdza w dalszym ciągu: „Akcja budowy postępuje powoli, ale systematycznie naprzód. Otuchą napawają organizatorów tacy ludzie jak J. Modrak, który własnym samochodem ciężarowym zwiózł dotychczas wszystkie potrzebne do budowy żwir, piasek oraz gruz pod budowę betonowej płyty pod podłogę sali. Dalej kol. W. Rybarczyk, świetny fachowiec murarski, który twierdzi, że żadnej deklaracji podpisywał nie będzie, ale każdą niedzielę będzie murował ile mu sił starczy. Trzeba wiedzieć, że kol. Rybarczyk przekroczył już sześćdziesiątkę.

Budujemy w każdą sobotę i niedzielę oraz w święta publiczne. Oczywiście, mamy również przerwy spowodowane nie pogodą. W ramach budowy przewidziana jest: w terminie pierwszym jedna sala, scena, dwie szatnie oraz ubikacje przyległe, sala klubowa-bar, kuchnia, ubikacje i dwa pokoiki dla aparatury filmowej. W drugim etapie przewidziana jest budowa tarasu oraz sali szkolnej i świetlicy harcerskiej. Komitet budowy przewiduje, że zabawa sylwestrowa odbędzie się już we własnej sali, we własnym domu.

Tę datę, drodzy Kombatanci, trzeba zapamiętać. Witając nowy rok w Londynie, N. Jorku, Toronto, Buenos Aires, Paryżu, Sztokholmie, Brukseli i wszędzie, gdzie się gromadzimy, wnieśmy toast: Za pomyślność Domu Orła Białego i jego twórców!

A. Czulowski

MIESIĄC INWALIDY W SZKOCJI

EDYNBURG. Koło Inwalidów Wojennych P. S. Z. w Edynburgu podjęło już czynności organizacyjne „Miesiąca Inwalidów”, który trwa od 15 sierpnia do 19 września br.

W dniu 6 sierpnia w lokalu własnym Koło zwołało zebranie organizacyjne, w którym wzięli udział przedstawiciele organizacji edynburskich, na którym został powołany do życia specjalny „Komitet Miesiąca Inwalidów”, w skład którego weszli: plk H. Doskoczyński — przewodniczący, Wanda Laxowa — z-ca przewodniczącego, Al. Bistawski — sekretarz i Wł. Szafran — skarbnik. Protektorat nad „Miesiącem Inwalidów” przyjął generał Stanisław Maczek.

Zebrani przedyskutowali program imprez, które będą urządzane w okresie „Miesiąca Inwalidów”, a mianowicie: herbatki towarzyskie, połączone z występami

mi artystycznymi, koncert Chóru „Echo”, zabawy taneczne, tombola. Niezależnie od tych imprez urządzane będą przy różnych okazjach zbiórki pieniężne, sprzedawane specjalne nalepki oraz puszczone w obieg listy zbiórkowe. Wystosowany również zostanie apel do społeczeństwa szkockiego za pośrednictwem prasy szkockiej. Organizacje edynburskie zobowiązały się nie urządzić w okresie „Miesiąca Inwalidów” żadnych imprez dochodowych, aby nie utrudniać działalności Komitetu Miesiąca Inwalidów. (Sn)

POSZUKIWANIE

GOTKIEWICZ Tadeusz z Warszawy, syn Józefa, służył w armii gen. Andersa w Rosji, poszukiwany jest przez stryja Mariana. Wiadomości: M. Gotkiewicz, 808, Melrose Ave., Ambridge, Pa, U.S.A.

Lotnicy Południowo-Afrykańscy w Warszawie

DELEGAT Oddziału SPK Afryka Południe przywiózł ze sobą maszynopis książki por. B. H. Austina, oficera lotnictwa pld.-afrykańskiego, który w roku 1944 latał nad Warszawę, by nieść pomoc walczącym w niej powstańcom. W książce swej, gotowej do druku, a noszącej tytuł „Warsaw Concerto”, autor pisze z entuzjazmem o Polsce i Powstaniu Warszawskim.

Jest on jednym z tych lotników, którzy wyskoczyli na spadochronie z płonącego samolotu i który uważa swe loty do Polski za najpiękniejszą kartę swego życia; przechowuje pieczołowicie pamiątki z tej wyprawy w specjalnym albumie, a wspomnienia w sercu swoim i rodziny, szerząc dobre imię Polaków.

Na 119 lotników afrykańskich, którzy nieśli pomoc dalekiej i nieznannej Polsce, poległo 40. Wszyscy dostali odznakę AK. i uczczeni zostali na specjalnych uroczystościach w Cape Town, Durban, Pretorii i Johannesburgu. Corocznie w rocznicę powstania organizowane są specjalne zebrania w Johannesburgu przez Zjednoczenie Osadników Polskich. Inicjatorem roznadania odznak jest Koło SPK w Transvaal, zaś pionierem przyjaźni pol-

sko-afrykańskiej s. p. W. Szymkowiak, którego grobowiec ufundowali lotnicy afrykańscy.

Książka ma szanse sfilmowania, autor dedykuje ją swym poległym kolegom i ma nadzieję uzyskać przedmowę od gen. Bora. Przytaczamy tu tłumaczenie części wstępu autorskiego:

„To nie są wspomnienia ani nie jest to melodramat, a raczej opowiadanie, które wywodzi się z kryzysu wojny, który pokazał światu lotników południowo-afrykańskich, natchnionych przez ogólnoludzkie motywy humanitarne dla spełnienia jednej z najbardziej ryzykownych misji wojennych tej wojny.

Gen. Bór-Komorowski, wódz Polskiej Armii Podziemnej, przebywał na dachu swej głównej kwatery w Warszawie w owe trzy pamiętne noce sierpnia 1944, w zasięgu widoczności armii rosyjskiej na Pradze — przedmieściu Warszawy, położonym na wschodnim brzegu Wisły — aby obserwować nasze samoloty,

zrzucające pomoc znad samych dachów, i stwierdza dzisiaj: „Pamiętam to niezwykle uczuciowe podniecenie, jakie ci ludzie przynieśli ze sobą: orzeźwiający oddech wolności...”

Była wielkim odprężeniem dla mnie możliwość wyrażenia w słowach tych wydarzeń i przeżyć, próba wyświetlenia owego kryzysu, który pozostawał nieznanym ogółowi, i zdjęcie antypolskich oskarżeń, zamulających źródła opinii publicznej; poinformowanie o stosunkach Południowej Afryki do Polski w czasie drugiej wojny światowej; o tych lotnikach brytyjskich, polskich i południowo-afrykańskich, którzy brali udział w niskich lotach nad Warszawę w roku 1944, a potem o ich kontaktach z polskim ruchem podziemnym oraz ich niepewności, czy wracać do swej bazy w Italii 900-milową trasą przez Bałkany, czy też może zaryzykować oddanie się w ręce Rosjan o kilka mil stamtąd, być badanym, a potem jako podejrzanym zatrzymanym przez kraj, nazywający się naszym sojusznikiem, a który jedno-

cznie zniewolił tyle wolnych narodów i cynicznie podeptał tyle zobowiązań międzynarodowych, zwalczał religię, zajął Polskę — naszego alianta bez Quislinga i niszczył jej umiłowanie wolności. Aby zniszczyć Polskę wymordowano 5-tą część jej ludności, a 400 miast i miasteczek zrównano do fundamentów”.

I dalej:

„Wielkie straty nie wstrzymały polskiego dywizjonu od niesienia pomocy gen. Borowi. Loty jego należały do najmniejszych pod względem ilości samolotów: zaledwie 3 Liberatory i 3 Halifaxy brały w nich udział jednocześnie. Straty tych lotów kosztowały dywizjon polski 17 załóg, a więc więcej aniżeli jego stan liczebny i rezerwy. Tak obrzytmich strat można byłoby uniknąć gdyby to zadanie mogło być wykonane z lotnisk rosyjskich, położonych w zasięgu 50 mil od miasta, ale Rosjanie, co jest dobrze wiadome, na-

umyślnie zatrzymali swą ofensywę, aby przedłużyć wyniszczającą Polaków walkę z Niemcami.

Tylko niewielki zrozumiął tę przewrotność Rosjan, przeszkadzających dostawom broni dla ludzi, względem których w tym samym czasie proklamowali swą przyjaźń. Świat był zdumiony, że po latach okupacji przez wroga, gen. Bór mógł stworzyć 400-tysięczną armię podziemną, która wystąpiła w ciągu jednej nocy, zrywając w walce w samej Warszawie dwie dobrze uzbrojone dywizje niemieckie w ciągu 63 dni i nocy.

Mogę zaryzykować przepowiednię, co stanie się z Polską powojenną pod okupacją rosyjską, mogę tylko dlatego, że przeżyłem znów owe 6 tysięcy mil, które dzielą mój kraj od Polski po 14-tu latach, by zobaczyć na własne oczy prawdziwą tragedię Warszawy, ślady i blizny wojny na ludności, milczenie tego bohaterskiego narodu, które udowodniło, że tylko siła ducha może pozyskać serca ludzi pozbawionych elementarnych praw człowieka i obywatela”.

Antoni Wejtko

— Majewskij, słyszałeś...?

— Słyszałem...

— To, to... Ciebie tatuś, pułkownik, i mamusia, czeladnicianka, pewnie inaczej kształcili, ale my tu uświadomimy Polaczka na nasz sowiecki, proletariacki ład. Rozejść się, brudne ścierwa, do roboty! Żeby mi dziś czyszczenie podwórka było skończone! A na jutro co innego wam obmyślę. Głomordy wy element, głodna wasza kiszka, tylko by wam na kuchnię durne gały wylupiać. Wy, w rowie zrodzeni, szczerze pokurcza, zadriepy kontrrewolucyjnie! Ja z was tę kontrę wybije, będziecie na Lenina się modlić, a imieniem Trockiego przysięgać. Rrrazzz! — żeby waszego wszawego ducha tu więcej nie było!

Towarzystwo nie wiele sobie robiło z dobranych przekleństw Kostiaaka. Wszyscy wiedzieli, że już koło południa będzie pijany i, byle mu pod rękę nie podłazić, zniknie aż do następnego dnia wraz z kierownikiem. Barnaba twierdził, że z Dietdomu nie wychodzą, tylko zamykają się na dziewczynskiej połowie. Tak czy owak, w niedzielne popołudnie żaden z bezprizornych chłopaków nigdy ich nie widywał, więc cieszą się prawie całkowitą swobodą.

Po wydaniu nieśmiertelnej rybnej polewki poszli we trójkę do ogrodu, wybrali najbardziej zarośnięte ustronie. Wyładowali z kieszeni część wógówki, przystanej przez Szurę. Barnaba, który nie znał przयोग Stasia z przed dwóch lat, przewracał z błogością oczy, zającując się końską bielbasą.

— Więc to dziewczyna ci przysłała... Co za dziewczyna?

— Narzeczona — chichotał Stienka, spoglądając przypochlebnie na Stasia. — No, tak jakby narzeczona. W komyskach z nim była, jakeśmy nową Sicz Zaporoską zakładali. Ja ją ostatni raz widziałem w jesieni, zanim mnie te krwio-pijce złapały. Mówię ci, Barnabuszka, dziewczucha jak ląbędzica. Chodzi tak, że się ziemia pod nią z radości kołysze. Ten Staś, to on w czepku się urodził, powodzi mu się, jakby był nielegalnym bachorem.

Staś wyciągnął z gazety kawał pieroga. Dzielił ostrożnie, uważając, żeby zanadto nie nakruszyć. Natrafił palcami na opór, zaczął szarpać. Stienka chwycił go za przegub.

— Uważaj! — syknął z przejęciem. — Jakiś papier w środku...

Wyjął kartkę, złożoną we czworo. Była mocno zatłuszczona, ale wielkie kulfony występowały wyraźnie pod światło. Starł resztki kapusty, zaczął czytać.

— No, co... co pisze? — szturchał go niecierpliwy Stienka.

— Zaraz... daj, doczytam... Żeby przez kucharza dał znać, jak mi się powodzi i czy mam znajomych na mieście. Że pójdzie do nich... Także pisze, że póki tu jestem, będzie wałówki przynosić. No, i w ogóle...

Barnaba odgarnął z czoła zwisające włosy. Uderzył Stasia po ramieniu.

— Znaczą się, dziewczyna błatna. List w pierogu zapiekła, isz, jaka cwana! A tyś się z nami podzielił, paczki ukryć nie próbowałeś. Toś druh! Ja tu na razie za frąjera jestem, tylko te gnidy na mnie się trzęsą. Ale jak raz stąd wyjdziemy, zobaczysz, com za jeden. Ja milicjanta na śmierć zadłgałem, ja się Boga ani diabła nie boję. Jeszcze tak się nie zdarzyło, żeby Barnaba za przyjaźń przyjaźnią nie zapłacił. A wałówka nie nasza. Coś nam dał, toś dał; twoja wola, a nasza wdzięczność. Resztę schowaj — dla ciebie będzie. Tej kobiecie odpiszesz?

— Jakże... Jegorow mi powiedział, że jej powtórzy, co trzeba. List chyba też doręczy.

— Listu nie dawaj. Z tego, co powiesz, zawsze można wyłgać się, jeśli świadka nie ma. A co piórem napisane, tego i toporem nie wyrąbie. List przez Żenkę wysłamy, jak pod ogród podejdzie.

Stienka rozmyślał, gryzie wargi.

— Ona o Żenke w tej kartce nie wspomina?

— Nie.

JÓZEF ŁOBODOWSKI

Droga powrotna

POWIEŚĆ

— To znaczy, że wałówkę wyszykowała, zanim gryps do niej doszedł. Skąd mogła wiedzieć?

Staś zastanowił się.

— Ach, już wiem! To proste! Kucharz mi mówił, że Szurka przyszła dziś rano. Z Rozbojem. To mój pies. Mądry pies, mądrzejszy od niejednego człowieka. Był ze mną, jak mnie aresztowali, nawet jeden milicjant groził, że go zastrzeli. Ja go odpędziłem i kazałem iść do Szurki. Więc prosta sprawa... Jak zobaczyła psa, zaraz domyśliła się, że nie pojechał do Rostowa.

— Niby zgadza się! — Barnaba skrzywił się sceptycznie. — Ale ten twój Rozbój, choćby najmądrzejszy, nie powiedział jej gdzie jesteś...

— Ale ją przyprowadził przed Dietdom! — zawołał Staś. — Widział gdzie i przyprowadził. Na pewno! On nie takie rzeczy robił! Ma węch, jak najlepszy ogar. Po to do niej poszedł, żeby przyprowadzić tutaj. I Szurce już łatwo było domyśleć się wszystkiego.

Rozległ się trzykrotny, przerywany gwizd. Zezowaty podskoczył.

— To Zeńka. Siedźcie tu cicho, ja do niego pójdę.

Odpowiedział krótkim gwizdnięciem i zniknął w zaroślach. Czekali w milczeniu. Barnaba dojadł powoli swój kawałek pieroga.

— Toś ty taki... I narzeczona masz błatną i własnego psa. Kostiakowi też odważnie się postawiłeś. A ja z początku myślałem, żeś mamin synek, burżujska menda.

Stienka zjawił się równie szybko, jak przepadł.

— Tak było, jakeś mówił. Rozbój ją tu przyprowadził, a reszty dowiedziała się od kucharza. Nadszedł ją, jak na mur chciała wylazić, dostał dobrego kubana i dlatego taki grzeczny. Jak Żenka do niej przyszedł, już wszystko wiedziała. Co chcesz, żeby Żenka jej powiedział? Czeka za murem, bo do ogrodu boi się, ścierwo, wejść. Najlepiej chodź ze mną, to mu sam wyłożysz, co i jak. A ty, Barnabuszka, zostań tutaj i kipur, czy nie będzie poruty.

Żenka z nadzwyczajnym wylaniem trząsł ręką Stasia.

— Uch, alem się nalatał przez te dwa dni! Ale sobie nie krzywduję. Opchałem się u Szury za wszystkie czasy. Honorowa dziewczucha, żarcia nie pożałowała. Masz co do niej?

— Niech idzie do Giennarija — mówił z naciskiem Staś. — Wiesz, co za jeden? W Rewkomie dawniej pracował, nie wiem, czy i teraz. A także można go po południu zastać w biurze przy portowych składach.

— Spożywcze? Od kooperatywy?

— Właśnie. Niech do niego pójdzie i wszystko opowie. Najlepiej do tego biura, bo nie jest na widoku i niewiele ludzi tam się płacze. Giennarij zaraz po śmierci ojca o mnie wypytywał, ale jakoś się zwlekło i nie poszedłem. To porządny chłop, chociaż komunista. To jedno. A drugie, niech Szurka zaraz zawiadomi tego Ormianina, co ma sklep z antykami niedaleko bazaru. Czaharian się nazywa. Jakby nie miał do niej zaufania i chciał spławić, niech mu pokaże srebrne kolczyki i broszkę. U niego kupiłem, na pewno pozna. Niech prosi, żeby jak najprędzej zawiadomił Griszkę Aszwajanca. Zapamiętasz?

— No, pewnie! Najpierw do Giennarija, potem do Czahariana. Jakby nie wierzył, kolczyki mu pokazać. Lecę na jednej nodze. Szuroczka pewnie od samego rana mnie wyczekuje, doczekać się nie może. Trzymajcie się ostro, chłopaki!

8) Wrócili w głąb ogrodu, zjedli pozostałe resztki. Słońce powoli chyliło się ku zachodowi. Barnaba przewrócił się na wznak, zerwał liść, roztarł go na dłoni. Rozeszła się gwałtowna woń piołunu. Leniwie brzęczały pszczoły, świerszcz ciągnął swoją monotonną, usypiającą piosenkę.

— Ta-ak... — szeroko ziewnął Barnaba. — Ładne nam życie, psiekurwie, urządzili. Wy-cho-wy-wać od nowa... „Burżujskie narowy — powiada Kostiak — z was będziemy wybijać!“ A jakież burżujskie narowy, jeśli ja jestem prolet z dziada pradziada i od czterech lat częściej w ryszotku niż w łóżku sypiam?! „Przerobić się trzeba...“ Niech zamarkanych szczyłów przerabia, nie mnie!

— Ty pierwszy raz w Dietdomu? — zainteresował się Staś.

— Pierwszy? Jaki tam pierwszy! Jeszcze w dwudziestym zamknęli. Urwałem się po tygodniu. Potem w Astrachaniu drugi raz. Znowu urwałem się. Urwę się i stąd. Nie na takiego pachana trafili, żeby kamienie im nosił, w zęby zbierał i kichy zdechłą rybą truł. Tylko że tym razem bez pożegnania nie pójdę. Niegrzecznie by było. I Chrapugę i Kostiaaka pozdrowię przy odejściu. Albo czerwonego kura im zapuszczę, będzie widnieć w szeroki świat wędrować.

— Mówisz, że pierwszy raz w Carycynie cię wzięli... Caryczyński jesteś?

— Nie, z Sarepty. Niedaleko, ale bardziej ku północy. Powoźce, znaczy. Najlepsze zbójckie strony. Saryń na kiczku i finką pod żebro. Tam Stienka Razin za starodawnych czasów swobodę utrwalał, a potem Emielka Puhacz na spacerki wychodził, carskich wojewodów strykiem po gąrdziach laskotał, kupczynom łój przy pożarze wytapiał. Ja tam jeszcze wróć, odwiedzić tę swolotę, przez którą pierwsze zęby z gęby wyplułem.

Stienka podparł głowę dłońmi, wpatrzył się w Barnabę z szacunkiem.

— Będziesz chadzać na zbój, jak stąd się wyrwiesz?

— A co? Bo mi to strach, albo pierwszyna?! Byleby trafić na swoją bratwę. Ty, Stienka, dużo jeżorem pytłował o tym Griszce Aszwajancu... Ze Stasiowy przyjaciel. Prawda to, że z niego taki dobry pachan?

— No! Zapytaj Stasia. On, jak w komyskach bitwa była z zielonymi, niejednego położył, przebił się razem z Czarnym Jegorką i innymi. Do Rostowa się przeniósł, tam rozrabia, ale kilka razy i tu zaglądał. Forsy ma zawsze jak lodu. Na niego żaden milicjant w pojedynkę nie pójdzie. Ani w dwóch. Ile razy obławy urządzali — zawsze się wywinął. Z takim hersztem to może i ja bym się odważył. Tylko, że z Griszki dziwny chłop, na własną rękę lubi pracować. A za Stasiem to on by w ogień i wodę polazł. Oni od dawna k u n a c y, krew swoją pili i na kindzały przyjaźnielstwo przysięgali. Niech tu przyjdzie, a Staś go poprosi, pomoże i nam. Nie, Staś?

— Obowiązkowo! — gorliwie przyświadczył chłopiec.

— Miałem i ja takiego przyjaciela — wspominał Barnaba. — Razem z astrachańskiego Dietdomu urwali my się. Poszli na południe wzdłuż Kaspijskiego. Głębiej w stepie Kałmucy tam koczują, a na samym brzegu rybackie przysiółki. Którzy rybę łapią, którzy sól warzą. Tośmy trochę do roboty się godzili, nie za dużo, tyle tylko, by przeżyć, odpocząć i dalej iść. Tak zawędrowali aż do Mozdoku. Miasto nie najgorsze, Tatarów sporo, Ormian, Greków, Persów nawet, no, w ogóle wszelkiego rodzaju Azjatów... Zaraz pierwszego wieczora poszli my poszukać coś do żarcia, ściągaliśmy kiełbasę ze stragana i w nogi. Milicjant się podwinął, pogonił. Długonogi, ścierwo, zapędził w ślepy zaułek, ni tudy ni stady! Patrę, a mój Sańka tylko się zebrał w sobie... jak skoczy do przodu... A w rękawie wyostrzona finka. Milicjant jak zajęczy... łapy rozczapierzył i już gębą po piachu się tarza. Uświerkł w try miga.

(Ciąg dalszy nastąpi)

ETRUSKOWIE ZNANI I NIEZNANI

Do dwóch ostatnich grup należą groby znajdujące się parę kilometrów za miastem; jako najciekawsze wymienić można tzw. „Grobowiec Barona“ (koniec VI w.) z postaciami mężczyzn i kobiet na grzbietach koni, oraz z VI wieku „Grobowiec Byków“ ze scenami o tematyce seksualnej. Zielonkawo-niebieskie oraz czarno-ceglaste kolory malarstwa w Tarquinii pozostawiają niezatarte wrażenia.

Drugim ośrodkiem malarstwa etruskiego jest zespół rozrzuconych grobowców w Chiusi (na południe od jez. Trasimeno). Ich wartość artystyczna jest dużo mniejsza tak w rysunku jak i w kolorze. Tematyka w Chiusi jest głównie zaczerpnięta z gier i igrzysk sportowych oraz scen pogrzebowych. Ciekawe są również w tym mieście resztki etruskich murów obronnych zbudowanych z olbrzymich głazów.

ARCHITEKTURA rzymska przejęła bardzo dużo z etruskiej techniki budowlanej. Konstrukcja

(Dokończenie na str. 6)

Pantheonu nie jest niczym innym jak kontynuacją kopulastych grobowców etruskich. Pomysł tzw. fałszywej kopuły (wysuwanie do wnętrza poszczególnych rzędów kamieni lub cegieł) był starym wynalazkiem; Etruskowie wprowadzili jednak do budowy sklepień ciosy klinowe przejęte z budownictwa starożytnego wschodu.

Prawdziwym monumentem architektury etruskiej jest nekropol w Cerveteri (staroż. Caere). Olbrzymie groby kopułowe ciągną się po obu stronach głównej ulicy prawie 2 km. Całość robi wrażenie skalnej dekoracji. Chyba najpiękniejszy wewnątrz jest „Grobowiec Stiuków“, zbudowany całkowicie pod ziemią. Jego gipsowa, malowana dekoracja jest przeglądem przedmiotów codziennego użytku i stanowi wartościowy dokument dla naukowców.

Największą budowlą w Cerveteri

jest grobowiec Regolini-Galassi (od nazwisk odkrywców); ma on prawie 50 metrów średnicy. Wejście, podobnie jak do innych (ogółem odkopano ok. 200 grobowców) jest o kształcie trapezu i wąski korytarz prowadzi do przedsionka, z którego są wejścia do izb z łóżkami przeznaczonymi na postawienie urn z prochami.

Z innych obiektów architektonicznych pozostały po Etruskach mury obronne, resztki świątyni, i ulic (np. Perugia, Orvieto). Zasadniczo stosowali oni grecki typ świątyni z pewnymi zmianami lokalnymi. Ich drogi i mosty zostały rozbudowane przez Rzymian. Jedyny zachowany most etruski przetrwały jest nad głębokim jarem rzeki w Vulcii i razem z XII-wiecznym (po nar. Chr.) zamkiem tworzy malowniczą całość.

Ważną gałęzią sztuki etruskiej była rzeźba, najczęściej wykonywana w terrakocie. Z terrakoty tworzone były znane sarkofagi i urny etruskie. Z

tegoż materiału wykonywano posągi bogów (wspomniany powyżej Apollo z Veii). Portret w terrakocie stał na bardzo wysokim poziomie i był pierwowzorem dla twórców rzymskich.

Potrąbili oni także wykorzystać naturalne ukształtowanie terenu do uzyskania efektów plastycznych. Niezapomniane wrażenie pozostawia nekropolis w Norchi. Miejsce to jest oddalone od najbliższej drogi 30 km. Trzy doliny trzech rzek łączą się tutaj a ich wysokie skaliste wybrzeża są porośnięte tarasami, na których stoją grobowce dekorowane rzeźbami i ornamentyką wykutą w kamieniu. Niektóre grobowce mają wielkość małych świątyni. Całość jest mocno zniszczona przez brak konserwacji, zresztą w tych warunkach trudnych do przeprowadzenia.

Ale wszystko to są tylko główne zalety sztuki etruskiej. Obiektów ciekawych znaleźć można dziesiątki jeśli nie setki. Dlatego też w przyszłości książki o tej arcydziełowej kulturze powinny zawierać wyczerpujące przewodniki.

A. Dzierżyński

NOWOŚĆ!
MINIMALNE CŁO!

DOSKONAŁE
PRZÉRACHOWANIE

TRICELINOWE

plisowane materiały
na modne spodnice (trwałe, nierozchodzące się po praniu drobne plisy). Kolory: czarny, brązowy, granatowy, szafirowy, zielony i wiśniowy.

1' jard (szerokość 36 cali) łącznie z przesyłką do Polski sh. 12/6. Do każdego kuponu (3 j. na spodnicę) dodajemy dodatki: gurt, zip i haftki.

UWAGA: wystrzęgać się czysto bawełnianego materiału, tracącego plisy po praniu.

Największy Dom Wysyłkowy

TAZAB

Tazab House, 22 Roland Gdns.
London, S.W.7. Tel. FRE 3175

PIECZĘCIE ŻYCIA I TRUDU

(Dokończenie ze str. 1)

Świat zatracza wszystko co sumieniem — i dlatego groby powstają na sąd i oskarżenie. Świat przekreśla wszystko, co Boskie i ludzkie — i dlatego mogiły wypełniają się jękiem. Świat podał w pośmiewisko i w pogardę wszystko, co zstępuje od Najwyższego i co obowiązuje w Jego obliczu — i dlatego bije o bramy niebios ów straszny zagrobowy okrzyk i skarga: Dokądże Panie — Święty i Prawdziwy — nie występujesz na sąd i nie wydajesz wyroku za krew naszą na tych, którzy zamieszkują ziemię.

Słowa Pisma św. są jak miecz!

I tego właśnie miecza Pańskiego, tego piorunu Bożego, tego wystąpienia Boga na arenę dziejów — wzywają duchy poległych. Aby pomścił ich krew. Na tych co zamieszkują ziemię. Aby uczynił sąd — na świadectwo im i ich narodowi. Aby uczynił sprawiedliwość — za krzywdę jaką się stała milionowi ich współbraci.

My byśmy chcieli oczywiście, aby wyrok ten i sąd Boży nad zbrodniami świata wykonął się zaraz. Natychmiast. Bo nam się śpieszy. My nie mamy czasu. Czas nasz się kończy z życiem. Pan Bóg jest Panem czasu. Czas jest jego sługą i On nim rozporządza dowoli.

My widzimy jak odchodzą nasi drzewie serdeczni z wspólnego boju, jeden za drugim, i że coraz nas mniej tych, co walczyli wspólnie o ojczyznę prawa Boże. Widzimy — i rozumiemy, że to tylko powiększają się szeregi naszych braci, którzy mają być policzeni. Że to tylko wypełnia się liczba współbraci naszych i współtowarzyszy. — A Pan Bóg liczy. Liczy i czeka. Liczy i przeznacza. Liczy — a nam rzuca słowa, które stanowią otuchę i próbę zarazem dla nas: „Niech odpoczywają... Przez czas jeszcze nie wielki...“.

Zostawmy więc Panu Bogu czas — a naszym poległym spokój i wiekiście odpocznienie.

Dano im szatę białą. Oto cała sława nasza. Cokolwiek o nas powiedzą, cokolwiek zarzucą nam będą nasi wrogowie i jakkolwiek nami pomiatać — nasze ręce są białe. My jesteśmy wolni od zbrodni drugiej wojny światowej.

OBCHÓD POWSTANIA WARSZAWSKIEGO W MANCHESTER

Po raz pierwszy obchodzą rocznicę Powstania Warszawskiego poza Londynem a mianowicie w drugim z kolei największym ośrodku polskim — Manchester. Obchód organizował miejscowy Oddział Koła AK z prezesem S. Kopicem na czele. Na uroczystość przybyli z Londynu gen. T. Bór-Komorowski — przewodniczący Rady Naczelnej Koła AK i J. Garliński — prezes Zarządu Głównego Koła AK.

W pierwszym dniu złożono wieńce na grobach lotników i spadochroniarzy. Następnego dnia — niedziela — gen. T. Bór-Komorowski zawiesił wotum na obrazie Matki Boskiej Częstochowskiej w kościele św. Józefa, gdzie mszę św. odprawił ks. Paraszewski — Akowiec. Po mszy św. odbył się obiad koleżeńcki w Domu Kombatanata z udziałem 60 osób. Po południu odbyła

wej. Blask szat białych, jakie nałożyło Pismo św. naszym braciom poległym za sprawę, spada na nas i na dzieje nasze.

Zostawmy więc im spokój wiekiście — a Panu Bogu czas.

A gdy nadejdzie Jego czas, gdy się spełnią Jego dni, i gdy wypełni się liczba naszych współsług i braci — wtenczas i spełniać się poczyna sądy Boże „nad tymi, którzy zamieszkują ziemię“. I stanie się sprawiedliwość Boża prawem, pod którym uginąć się będą narody grzeszne. I „wówczas świat — według słów papieża Piusa XII — uzna, będzie musiał uznać, udział Polski w dziele swego ocalenia“.

Zostawmy więc Panu Bogu czas — wszystkim naszym poległym odpocznienie i spokój wiekiście a sobie nadzieje. Nadzieję idącego jutra. Nadzieję owej wiary, która przetrzymuje wszystko, co jeszcze ma przżyć — aż do spełnienia się ostatniej joty dokonywających się wyroków Boskich.

Ks. J. Warszawski, T. J.

WIESŁAW PATEK

SKANDYNAWIA NIE CZEKA NA WIZYTY

Chruszczow w czepku się ponoć rozdził. Nim miał dwadzieścia lat, już umiał pisać i czytać. Posuwając się żywo po szczeblach lokalnej kariery partyjnej ukończył pomyślnie wieczorowe kursy techniczne. Stalin bowiem pod wpływem Molotowa pragnął o-przeć kadry partyjne o młody narybek inżynierski. Gdy inni traciли życie Chruszczow awansował, wykańczając jednocześnie miliony Ukraińców. Nawet gniew Stalina jemu niczym gorzszym nie groził niż odtądzeniem „hopaka“. A później wykończony Malenkowa i Bułganina zapragnął tak jak sam mistrz Stalin rozmawiać na różnych szczytach. I wreszcie poproszono go do Waszyngtonu na wizytę.

Najrudniej na to zaproszenie spoglądać z filozoficzną obojętnością ze Sztokholmu. Dał temu wyraz zaniepokojony premier Szwecji Erlander, w wywiadzie dla największego pisma konserwatywnego „Svenska Dagbladet“. Przeciwstawiając się wielu po-

litykom i publicystom szwedzkim, którzy przyczynę odwołania przewidzianych na połowę sierpnia podróży Chruszczowa do stolicy skandynawskich upatrywali, nie bez racji, w zajęciach sowieckiego dyktatora na linii Waszyngton—Moskwa, powiedział Erlander, że przyczyny były lokalno-polityczne. Istotnie odmowa Chruszczowa, która nastąpiła podczas jego pobytu w Polsce, poprzedzona została przemówieniem ministra spraw zagranicznych Undéna, który 26 czerwca oświadczył, że skoro Rosja propaguje tak szczerze „Bałtyk — morzem pokojiu“, to mogłaby sama przede wszystkim odsunąć ze swych wybrzeży wyrzutnie rakietowe, pokrywające swym zasięgiem całą Skandynawię, nie mówiąc już o flocie wojennej.

Chruszczow słysząc, że neutralna Szwecja takim tonem mówi, połapał się jak małe są nadzieje na oderwanie Norwegii i Danii z Paktu Atlantycznego i powiedział, że za wizytę dziękuje. Raz tak powiedziawszy, pomyślał, że przy tej okazji należy trochę Szwedów postraszyć, więc w nocy, którą niegdyś chargé d'affaires w Sztokholmie, a obecnie zastępca Gromyki, jeden z wiceministrów spraw zagr., Siemionow doręczył w Moskwie przedstawicielowi Szwecji oświadczenie wyrażające, że wszystkiemu winna szwedzka prasa, nawet ta rządowa i nawet agencja telegraficzna, która głosi prasowe skromnie, bez komentarzy referowała.

Biedny rząd szwedzki, naprawdę wpływu na swą prasę nie ma, wobec czego za wszystkie łagodne epitety w rodzaju „kat Węgier“ itp. nie może ponosić odpowiedzialności. Ponieważ było to zgodne z prawdą, więc się wszyscy ministrowie uspokoił i pojechał na weekend, ograniczając cały problem do wewnętrzno-szwedzkiej polemiki pomiędzy publicystami rządowymi a opozycyjnymi na temat: „kto winien“?

naczać zerwanie z przyczynami kryzysu międzynarodowego, wówczas Rosja Sowiecka i międzynarodowy komunizm powinny wyrzec się dążenia do podboju świata. Czy kto uwierzy, że Rosja Sowiecka cofnie się dobrowolnie do swych właściwych granic? Z odprężeniem międzynarodowym nie da się w szczególności pogodzić obecności wojsk sowieckich w Polsce i w krajach Europy środkowo-wschodniej, zakończeniem zimnej wojny — o czym deklamują komuniści w Moskwie i w Warszawie — nie dadzą się również pogodzić wniosione przez nich bariery przed dostępem do krajów ujarzmionych idei zachodnich, twórczości, powstającej na Zachodzie, księzek i czasopism tu wydawanych — a mamy na myśli również wydawnictwa polskie ukazujące się w krajach zachodnich itd., itd.

Możnaby mnożyć te przykłady w nieskończoność. Do nich zaliczamy również utrudnianie pomocy gospodarczej Zachodu, niedopuszczanie w

POLSKA I ZACHÓD

(Dokończenie ze str. 1)

praktyce paczek wysyłanych przez organizacje katolickie do Polski itd. Polska zapłaciła przecież za odrzucenie swego czasu przez komunistów planu Marshalla trwającą do dziś biedą, niskimi zarobkami i wporczywie trzymającą się kraju gruźlicą, która na Zachodzie jest już niemal wytopiona.

Jest więc pole do szerokiej inicjatywy w rozmowach z przedstawicielami komunizmu. Zachód powinien przede wszystkim odrzucić tezę sowiecką, że statut zachodniego Berlina jest jedyną pozostałością powojenną i zażądać odpowiedzi na pytanie, co oznacza dalsza okupacja przez wojska sowieckie Polski, Węgier i innych krajów Europy środkowo-wschodniej? Oczywiście uznanie przez Zachód granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej — co nie może być dłużej odwołane — ułatwiłoby znakomicie podjęcie przez Zachód inicjatywy w sprawie Europy środkowo-wschodniej.

R. P.

KRONIKA TYGODNIA

5 sierpnia

Chruszczow oświadczył na wielkiej konferencji prasowej, iż w czasie spotkania wrześnieowego z prezydentem Eisenhowerem dążyć będzie do lepszego wzajemnego zrozumienia. Niemniej spotkanie to nie może zastąpić konferencji „na szczycie“.

W Wiedniu zakończył się organizowany przez komunistów Festival Młodzieży. W Genewie zakończyła się trwająca od 11 maja br. do 20 czerwca i od 13 lipca do 5 sierpnia konferencja ministrów spraw zagranicznych 4 mocarstw. Nie osiągnięto żadnego porozumienia w sprawie Berlina ani Niemiec zach.

6 sierpnia

Wicepremier i minister obrony Syjamu oświadczył, iż wojska syjamskie postawione zostały w stan pogotowia na wypadek gdyby rząd Laosu, walczący w swych północnych prowincjach z wojskami komunistycznymi, zażądał pomocy.

Chruszczow udaje się z oficjalną wizytą do USA dnia 15 września i pozostanie tam 13 dni.

7 sierpnia

W komunikacie wydanym w Pałacu Buckingham w Londynie ogłoszono oficjalnie, że królowa Elżbieta spodziewa się potomstwa na początku przyszłego roku. Prezydent Eisenhower przyjął zaproszenie premiera Macmillana przybycia do W. Brytanii w dniu 28 sierpnia. Dnia 2 września prez. Eisenhower przybywa z oficjalną wizytą do Paryża.

W Stanach Zjedn. wypuszczono w przestrzeń nowego satelitę ziemskiego „Paddle-wheel“, który krążyć będzie dokoła ziemi na wysokości ok. 23.000 mil przez cały rok.

Kardynał Cushing, arcybiskup Bostonu (USA) wypowiedział się przeciwko przybyciu Chruszczowa do USA, określając go jako „niebezpiecznego człowieka oddanego bezbożnej ideologii, prowadzącej do niewolnictwa“.

8 sierpnia

Radio Północnego Wietnamu ogłosiło, iż jakkolwiek zbrojna interwencja w Laos ze strony obcego państwa (chodzi o Syjam) uważana będzie jako groźba dla Półn. Wietnamu.

Prezydent Nasser oświadczył, iż Izrael nie będzie mógł nigdy korzystać z Kanału Sueskiego.

9 sierpnia

Rząd kubański premiera dra Castro nakazał aresztowanie 200 osób podejrzanych o kłótnia antyrządowe.

W Waszyngtonie ogłoszono oficjalnie, iż prezydent Eisenhower uda się najpierw z jednodniową wizytą do Bonn, a dnia następnego — 27 sierpnia — na dalsze rozmowy do Londynu.

10 sierpnia

Ojciec Święty ostrzegł przywódców Akcji katolickiej we Włoszech, by w pracy swej odróżniali sprawy religijne od spraw politycznych.

100.000 górników niemieckich w Zagłębiu Ruhry zostanie zwolnionych z pracy z liczby 550.000 górników, zatrudnionych w kopalniach węgla w Niemczech. 30 milionów ton węgla leży na wierzchu i nie można go sprzedać. Nadmiar produkcji węgla jest głównym powodem zwolnienia.

11 sierpnia

W ostatnim dniu konferencji ministrów spraw zagr. w Genewie osiągnięto pewne porozumienie w sprawie rozbrojenia. Ma być powołana nowa komisja międzynarodowa.

Kancelarz Adenauer przybywa pod koniec września z wizytą oficjalną do Londynu.

Premier Indii Nehru oświadczył, że w kraju jego przebywa 12.000 uchodźców tybetańskich.

Z Kuby donoszą, że aresztowano do tej pory 1.500 osób pod zarzutem organizowania spisku antyrządowego.

W Londynie odbyła się wstępna rozprawa przeciwko Guentherowi Fritzowi Podoli, oskarżonemu o zamordowanie detektywa sierż. Purdy. Rozprawa odbyła się przy drzwiach zamkniętych. Podobno Podola stracił pamięć.

CENA EGZEMPLARZA: w W. Brytanii 1/3 sh. — we Francji 75 fr. fr. — w Austrii 1.50 Sch. — w Belgii 7 fr. b. — w Holandii 60 cent. — w Niemczech 60 Pf. — w Portugalii 3 esc. — w Szwecji 90 öre — we Włoszech 60 lir. — w Australii 1 sh. 9d. — w Argentynie \$ 0.20 (w przeliczeniu) — w Stanach Zjedn. 20 cent. — w Szwajcarii 60 rp.

PRENUMERATA (opłata za przesyłkę lotniczą wg taryfy, platna z góry). Zamówienia i należności przyjmują: W W. Brytanii: „Gryf“-Publications Ltd., 169-171, Battersea Church Rd., London, S. W. 11; miesięcznie 6/-, kwartalnie 16/6, rocznie £3.0.0; Zmiana adresu 1s. — W Belgii: miesięcznie: frb. 25, kwartalnie frb. 75; Mrs. J. Korab-Brzozowska-Csaky — 19, Square Saintelette, app. 2, Bruxelles; wpłacać na rachunek poczt.: J. Korab-Brzozowska-Csaky, nr 7315.20, podając swój dokładny adres. — W FRANCJI: franków franc. kwartalnie 800, rocznie 2.800; Admin. „Syrena“, 20, rue Legendre, Paris 17, Konto poczt. Edit. ELKA-Paris 5507-30; „Libella“ Librairie, 12, rue St. Louis en l'Île, Paris IV, nr konta poczt. Paris cc 565150. Francja Północna: inż. Eugeniusz Tuszewski, 107, rue Royale, Lille (Nord), tel. 558-50. Dep. Bouches-du-Rhône, Var, Vaucluse: Stefan Herodyski, Ecole des Filles, La Penne-sur-Huveaune (Bouches-du-Rhône); — W HOLLANDII: mies. fl. 2.00, kwart. 5.50; wpłacać przek. poczt.: Fr. Małki, Tulpenlaan 17, Lindendhevel, Geleen (L.). — W NIEMCZECH: Stanisław Mikiciuk, (13b) München 45. Gablonzstrasse 7/1. — W NORWEGII: koron mies. 4, kwart. 10, rocznie 36; Narvesens Kiosk Kompanii, Post-

box 115, Oslo. — W PORTUGALII: kwart. 35, rocznie 120 esc.; A. Zieliński, Lisboa Central Caixa Postal Nr 110. — W SZWAJCARII, fr. szw. mies. 2.00, kwart. 5.50; Maria Wasung, 6 rue des Lilas, Genève i Janusz Rakowski, Mainaustr. 28, Zurich. — W SZWECJI: koron. mies. 3.60, kwart. 10, rocznie 36; Polski Komitet Pomocy, Jungfrugatan 30/II Stockholm. — W WŁOSZECH: lirów: kwart. 700; W. Zahorski, Associazione Combatt. Polacchi, Via Licia 19-9, Roma; należność wpłacać przekazem poczt.: — W ARGENTynie: prenumerata roczna \$ 8.00 (w przeliczeniu); Tadeusz Dabrowski, „Libreria Polaca“, Serrano 2076, Buenos Aires. — W BRZYLII: półrocznie \$ 4.00, rocznie \$ 8.00; Z. Kietlińska, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana. — W AUSTRALII: „Vistula“ (Australia) Pty. Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney; „Spolem“, 64, Tapleys Hill Rd., Royal Park, Adelaide, S. A.; kwart. \$1.0.0A, rocznie \$3.15.0A. — W KANADZIE: rocznie \$8.00; „Gryf“, Londyn. — W PŁD. AFRYCE: kwartalnie 16/6, rocznie — 60/-; Prenumerata przyjmuje bezpośrednio „Gryf“ Publication Ltd. — W STANACH ZJEDNOCZONYCH: Prenumerata kwartalna — \$ 2.10, półroczna — \$ 4.00; Przedstawicielstwa: L. Dudarew-Ossetyński, „Wilno“.

28471 Ventura Boulevard, Agoura P. O. Box 113, California; „Gryf“, W. Bieńkowski, 296, Sheridan Ave., Albany N. Y., Polish American Book Co., 1136 Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill., „Księgarnia Ludowa“ J. Zukowski, 5347, Chene St., Detroit 11, Mich.

CENA OGŁOSZEŃ: za jeden cal przez jeden łam £1.50, wzgl. 1 cm. przez jeden łam 750 fr. fr. Przyjmuje GRYF PUBL. LTD., 171, Battersea Ch. Rd., London S. W. 11; Adm. „Syrena“, 20, rue Legendre, Paris 17, tel. WAGRAM 0045; Carlton Berry Ltd., Gr. Buildings, Trafalgar Sq., London W. C. 2; lub Odra Press Ltd., 16 Drayton Ct., London S. W. 10.

Nadesłanych rękopisów Redakcja nie zwraca. Za treść ogłoszeń Redakcja nie bierze żadnej odpowiedzialności.

Adres Redakcji i Administracji: „Gryf“, 171, Battersea Church Rd., London, S. W. 11, Tel. BATTERSEA 1445. We Francji: „Syrena“, 20, rue Legendre, Paris 17, Tel. WAGRAM 0045; Konto pocztowe: Editions ELKA c. c. Paris 5507-30.